

W numerze: WIESŁAW JAŻDZYŃSKI „Jam jest dla Ciebie jak ogród” • ROMAN LOBODA Przygoda w sennym miasteczku • Czterdzieści lat przy pulpicie dyrygenckim • Rozmowa z dr Z. Latoszewskim • JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI Kazimierz Bleszyński - Świadek i uczestnik • Konkurs • Zewsząd o wszystkim

odgłosy



7 (691)

14. II. 1971 r.

Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



WITOLD SŁAWSKI

PLENUM PROGRAMU ODNOWY

Siedem tygodni dzieli nas od VII plenarnego posiedzenia Komitetu Centralnego PZPR, na którym dokonano życiodajnych dla partii i narodu zmian politycznych. Wtedy — 20 grudnia ub. roku kraj nasz pogrążony był jeszcze w głębokim kryzysie politycznym. Nawarstwiane od dłuższego okresu napięcie społeczne — kilka dni wcześniej uwewnętrzniło się w robotniczym proteście stoczniowców Gdańska i Szczecina. Falszywa ocena charakteru wydarzeń doprowadziła do dramatu, jaki rozegrał się na ulicach Trójmiasta i Szczecina. Wikał on kraj i wprowadzał na drogę katastrofy. Wtedy — 20 grudnia decyzje partii położyły kres tragicznym wydarzeniom i odwróciły bieg wypadków. Zapoczątkowały drogę odnowy. Komitet Centralny zapowiedział wówczas, że na swym kolejnym posiedzeniu dokona rzetelnej oceny wydarzeń i podejmie wypływające z niej wnioski.

W sobotę i niedzielę na wielogodzinnym i pracowitym posiedzeniu, w ogniu szczerej dyskusji, VIII Plenum Komitetu Centralnego przeprowadziło uczciwy obrachunek przyczyn grudniowych wypadków. Sięgnięto w tej ocenie w głąb, do pokładów społeczno-ekonomicznych, stwierdzając otwarcie: od dłuższego czasu rosło niezadowolenie z polityki gospodarczej i socjalnej, ze sposobu kierowania sprawami partii i państwa. Było ono uzasadnione, gdyż zaniedbywano potrzeby społeczeństwa. Błędne decyzje ekonomiczne prowadziły do stagnacji realnych płac, wzrostu napięcia na rynku, zaostrenia problemu mieszkaniowego, opóźnień w budowie urządzeń socjalnych... Brak długofalowego programu rozwoju kraju rodził społeczne odczucie braku perspektywy, przekonanie, że nasz niemały potencjał ekonomiczny nie służy należycie człowiekowi i że mimo wszystkich nie od nas zależnych przeciwności — stać nas na więcej.

Rozdzźwięk między oficjalnymi, statystycznie potraktowanymi ujęciami sytuacji materialnej społeczeństwa, a rzeczywistymi budżetami wielu rodzin i powodował niewiarę w możliwość wyjścia z przedłużających się trudności gospodarczych. Grudniowa decyzja o zmianie cen tę niewiarę umocniła, stając się przysłowiową kropką, dopełniająca kielich.

Budziły również poważne zastrzeżenia metody działania partii i kierowania państwem. Instancje i organizacje partyjne kierowane były na drobniagowe zajmowanie się problemami ekonomicznymi i admini-

Dalszy ciąg na str. 2

JAN KOPROWSKI

NOTATKI

z MOSKWY

I.

Moji koledzy: Jerzy Putrament, Wojciech Zukrowski, Leopold Lewin i Józef Lenart wyjechali poprzedniego dnia pociągiem, mnie wypadła podróż samolotem. W Polsce piękna słoneczna pogoda (zupełnie jak w kwietniu), natomiast Moskwa, z powodu panującej tam mgły, nie przyjmuje samolotów. Więc siedzę na lotnisku Okęcie i wraz z innymi pasażerami czekam na polepszenie się warunków pogodowych w Moskwie. Jak po paru godzinach startujemy. Ale lądowanie w Szeremietiewie jest ciężkie i nieprzyjemne. W dodatku na lotnisku nikt na mnie nie czeka. Zaniepokojony idę do Informacji, gdzie mi oświadczone, że wóz, który po mnie jechał, w połowie drogi nawalił i muszę czekać, aż przybędzie następny. Ale to potrwa. Znowu czekam cierpliwie, rozumiejąc, że matka ziemia jest poczekalnią. Kiedy wreszcie dotarłem do hotelu „Moskwa” w Moskwie, była dokładnie północ.

Nazajutrz, 25 stycznia, udaję się z kolegami na naradę. Dołącza jeszcze do nas przebywający akurat w Moskwie Zbigniew Żaluski (ten od „Siedmiu polskich

grzechów głównych”) i tak oto delegacja nasza składa się z sześciu osób. Na sali obrad w Centralnym Domu Literatury starzy znajomi: Zacharia Stancu z Bukaresztu, Georgij Dżagarow z Sofii, Josef Darwasz z Budapesztu, Herrmann Kant z Berlina (autor przełożonej na język polski znakomitej powieści „Aula”), Sonomin Udwał z Ulan-Bator i Władimir Minacz z Bratysławy. Nie znamy delegatów Wietnamu, Kuby i Jugosławii, ale wkrótce i o nich dowiemy się coś niecoś. Zarząd Pisarzy Radzieckich reprezentują między innymi: Witalij Ozierow, naczelny redaktor „Woprosów literatury”, Alfonsas Bielauskas z Wilna i Piatrus Browska z Mińska. Ten ostatni jest człowiekiem niezwykle towarzyskim i o dużym poczuciu humoru. W czasie obiadu i przerw kulturalnych opowiada nam zabawne historie i wymyśla dowcipy słowne w rodzaju: „Merci w Baku”, albo „Burnyje aplodimentsy pochodiat w awiacju” itp.

Obecne spotkanie moskiewskie jest ósme z kolei. W poprzednich latach spotkania przedstawicieli zarządów głównych organizacji pisarskich z krajów socjalistycznych odbywały się w Pradze, Moskwie, Warszawie, Sofii, Berlinie, Buda-

peszcie i Bukareszcie. Następna przyszłoroczna narada przewidziana jest w stolicy Mongolii — Ulan Bator, a w r. 1973 — znowu przyjdzie kolej na Warszawę. Spotkania te stawiają sobie za cel wzajemną informację o sytuacji literatury w poszczególnych krajach, o stanie przekładów, organizowanych sympozjach, o kontaktach ze związkami twórczymi w krajach kapitalistycznych. Na styczniowej naradzie w Moskwie był punkt, który nie widniał w programach poprzednich spotkań, a mianowicie: o współpracy z walczącym Wietnamem. Powiem od razu, że w tym punkcie wystąpienie naszego Wojciecha Zukrowskiego wywołało duże wrażenie i należało bez wątpienia do najciekawszych, najbardziej dramatycznych. Otwarta z okazji tej narady wystawa książek, obrazuje stan i ilość przekładów z literatur naszych krajów. Warto podkreślić, że jeśli chodzi o przekłady z literatury wietnamskiej i oryginalne prace krajowi temu poświęcone, nasz polski dorobek prezentuje się w tym zakresie wcale nieźle.

Dalszy ciąg na str. 3

PLENUM

PROGRAMU ODNOWY

DALSZY CIĄG ZE STR. 1

stracyjnymi. Wypełniało to niekiedy czas bez reszty, nie starczało go na sprawy polityczne i ideologiczne. Przejmowanie przez ogólną partię obowiązków administracji miało jeszcze jeden bardzo niekorzystny skutek — odczuła odpowiedzialność ludzi, pracujących w administracji państwowej i gospodarczej. A choroba niekompetencji — to groźna i zaraźliwa choroba. Uruchamia ona samonapędowy mechanizm przenoszenia decyzji wyżej i wyżej.

Kryzys zaufania dojrzał w wielu płaszczyznach, stawał się aktywny i ogólny partii w trudnej sytuacji — obiektywnie izolowanej od społeczeństwa, stawał się źródłem głębokiej rozterki wielu członków partii. Dyscyplina partyjna nakazywała im realizację decyzji, choć nie były one zgodne z ich wewnętrznym przekonaniem. Takim konfliktem pały charakteru, wytraca inicjatywę, spycha w kierunku bierności.

Ocena dokonana na VIII plenarnym posiedzeniu wskazała na źródła tych licznych deformacji w naszym życiu. Wynikały one z naruszenia przez kierownictwo partii więzi z klasą robotniczą i innymi warstwami ludzi pracy, z utraty kontaktu i braku szczernej rozmowy, pewności siebie, porzucenia kolegalności, niekorzystania z mądrości i rady ludzkich zespołów. Komitet Centralny wobec winnych tego stanu: Władysława Gomułka, Zenona Kliszki, Bolesława Jaszczyka wyciągnął partyjne wnioski, w pierwszym wypadku, zważywszy stan zdrowia, zawiązując w prawach członka KC, w dwóch dalszych — praw tych pozbawiając.

VIII Plenum nie ograniczyło się jednak do zanalizowania politycznego i społecznego tła wydarzeń grudniowych. Niepominięte ważniejsze jest to, że wypracowało z nich wnioski, wypracowując zarządy konstruktywnego programu działania dla partii i całego społeczeństwa. Przedstawił go w prosty i zrozumiały dla wszystkich sposób I sekretarz KC PZPR — Edward Gierek, w swym przemówieniu, z którego treścią mieli możliwość zapoznać się czytelnicy. Klamrą spinającą ten program jest odnowa życia politycznego, społecznego, ekonomicznego. W ciągu siedmiu ostatnich tygodni podjęto wiele ważnych postanowień,

które są już odczuwalne w naszym życiu, a które za ledwie zapoczątkowały proces wprowadzania kraju na drogę, zapewniającą harmonijny jego rozwój.

„Najważniejszym i najpilniejszym ze wszystkich zadań, przed jakimi obecnie stoimy — mówił I sekretarz KC — jest zapewnienie rozwoju produkcji i wzrostu wydajności pracy, a na tej podstawie — poprawy warunków bytu ludzi pracy, polepszenie sytuacji społecznej. Od tego zaczęliśmy i w tym też kierunku będą zmierzać — w miarę gromadzenia środków — dalsze nasze decyzje”.

Długa lista zamierzeń obejmuje pozycje tej miary, co: wzrost produkcji artykułów rynkowych, rozwój usług i rzemiosła, rozszerzenie budownictwa mieszkaniowego, poprawa sytuacji materialnej rodzin o niskich dochodach, zapewnienie właściwych proporcji między najniższymi a najwyższymi zarobkami, poprawa sytuacji kobiet pracujących i warunków społecznych w przedsiębiorstwach, likwidacja pasożytnictwa społecznego.

Aby ten program zrealizować potrzebny jest jednak czas i wypracowanie niezbędnych środków finansowych.

Równoległe, zgodnie z zapowiedzią, wypracowywać się będzie strategię dalszego rozwoju społeczno-gospodarczego, której zręby przedstawione zostały we wspomnianym przemówieniu.

Realizacji tych zamierzeń towarzyszyć będzie rozwój demokracji socjalistycznej, stworzenie gwarancji, aby we wszystkich organizacjach i instytucjach życia społecznego zwiększało się uczestnictwo klasy robotniczej, chłopów, inteligencji. Ważne problemy społeczne będą zawsze rozstrzygane po zasięgnięciu opinii środowiska, którego dotyczą. Rozszerzone zostaną uprawnienia organów przedstawicielskich.

Program odnowy partii rozpoczyna od siebie — od podniesienia rangi obrad Komitetu Centralnego, umożliwienia przedstawiania opinii, poglądów i ocen przed podjęciem decyzji, lepszego doboru kadr, koncentrowania się partii na problemach rzeczywiście kluczowych, poprawie metod działania i stylu pracy...

Tak wyznaczone zadania, konieczność wypracowania programowych kierunków dalszej budowy socjalizmu w warunkach demokracji socjalistycznej, nakazuje przyspieszyć zwołanie VI Zjazdu partii.

W przemówieniu na plenarnym posiedzeniu KC, Edward Gierek wypowiedział słowa, które mają pełne uzasadnienie w przedłożonym programie. Mówił on:

„Jesteśmy pewni obranej drogi. Nasza droga nie prowadzi ani w prawo, ani w lewo od socjalizmu. Zmierzamy do poprawy bytu ludzi pracy, do wzrostu gospodarki, do umocnienia naszego socjalistycznego państwa, do jego siły wewnętrznej i jego pozycji międzynarodowej”. Słowami tymi mierzyć można wielkość VIII Plenum — Plenum programu odnowy.

WITOLD SŁAWSKI

Z PRZEMÓWIENIA I SEKRETARZA KC PZPR EDWARDA GIERKA

Generalnym założeniem polityki partii w sprawach kultury jest — zapewniając warunki dla szerokiego rozwoju twórczości kulturalnej — popieranie patriotycznego zaangażowania tej twórczości w życie narodu, w pogłębianie socjalistycznej świadomości społeczeństwa. Jest to zgodne z najlepszymi tradycjami kultury polskiej — literatury, teatru, filmu, muzyki, plastyki i innych dziedzin twórczości — w których główny nurt wiązał się zawsze w sposób najgłębszy z żywymi sprawami narodu i postępu. Poprzez ten związek najwybitniejsze dzieła polskiej kultury trafiły i trafiają nadal do ogólnoludzkiego dorobku. Mimo wszystkich problemów, z jakimi borykał się w polityce kulturalnej w ostatnich latach, ten właśnie nurt jest w naszej twórczości kulturalnej dominującym. Jesteśmy przekonani, że ludzie kultury i sztuki swoją twórczością będą pomagać w krzewieniu i kształtowaniu prawości charakterów, męstwa i innych cnót obywatelskich, idei służby ojczyźnie, wiary w pomyślną przyszłość socjalistycznej Polski.

Jednocześnie widzimy konieczność tworzenia klimatu zaufania, sprzyjającego twórczości i jej upowszechnianiu, a także zapewniania, w miarę ekonomicznego wzrostu kraju, odpowiednich środków na rozwój bazy materialnej służącej potrzebom kulturalnego wzbogacenia społeczeństwa.

Wielkie zadania, które stoją przed nami, są zadaniami ogólnonarodowymi i mogą być pomyślnie rozwiązane z pożytkiem dla ludzi pracy miast i wsi, dla kraju, jedynie w warunkach moralno-politycznej jedności naszego narodu. Pracy i zasług dla ojczyzny nie dzielimy i dzielić nie będziemy według przynależności partyjnej czy organizacyjnej, według tego, czy ktoś jest wierzący czy niewierzący. Wszystkie środowiska i wszyscy obywatele powinni mieć pełnię poczucia współodpowiedzialności za losy kraju, za jego rozwój. Konieczny jest powszechny udział obywateli, całego społeczeństwa w życiu kraju, w rozwiązywaniu stojących przed nim problemów. Na ten udział liczymy, tego udziału oczekujemy.

Zewsząd o wszystkim

Zewsząd o wszystkim

Zewsząd o wszystkim

Piraci na Morzu Śródziemnym

„VIE NUOVE” — RZYM

W Rzymie, Neapolu, Palermo rozlegają się sygnały SOS. Chodzi tu o statek, któremu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo na otwartym morzu i który uparcie trzyma się kursu u brzegów Italii. Niemniej, sygnał „SOS” wiąże się z jego obecnością. Podano oficjalnie, iż statek jest wyekwirowany przez tak zwaną archeologiczną korporację USA, której ogromne zainteresowanie narodowymi skarbcami innych krajów już nie raz wywoływało duże zaniepokojenie światowej opinii publicznej.

Niezmierne bogactwa Morza Śródziemnego od dawien dawna spędzają sen z powiek macherom od nauki, głęboko okopanym w tej korporacji. Na odbytym niedawno w Nicei międzynarodowym kongresie archeologii podwodnej mówili oni nader głośno o gotowości okazania daleko idącej „pomocy” swym zachodnioeuropejskim kolegom w badaniach dna Morza Tyrreńskiego.

Oferta ta nie wywołała echa. I wówczas to Amerykanie, nie mając zwyczaju patyczkowania się z problemami, dotyczącymi innych krajów, postanowili działać „samodzielnie”. Statek wyposażono w najnowszą aparaturę elektroniczną, urządzenia ra-

diolokacyjne, echosondy i kamery głębinowe. Amerykanie zamierzają „przemacać” znaczne rejon dna morskiego pomiędzy Sycylią, Sardinią i Półwyspem Apenińskim. W planach ekspedycji mieści się także „badanie” dna Cieśniny Sycylijskiej i Zatoki Tareńskiej.

W starożytności przebiegał tędy handlowy szlak morski, po którym pływały karawany statków starożytnych Greków, Rzymian i Fenicjan. Na dnie morskim, pod grubą warstwą piasku, spoczywają bezcenne antyczne rzeźby, sztaby złota, amfory.

Amerykanie postanowili więc „przeczesać” tę podwodną dżunglę, zaopatrując swój statek w gigantyczny grabiasty czerpak. Spentruje on dno, krusząc i łamiąc po drodze wszystko, co przez tysiąclecia troskliwie chroniła natura. Ale za to, na amerykańskim rynku znajdują się pewnego dnia odłamki antycznych amfor, statui, szczytki pokruszonej broni, które z nadatkiem pokryją koszt tej „naukowej” ekspedycji.

Naukowe koła Włoch, Francji i innych krajów usiłują powstrzymać współczesnych piratów, których działalność grozi kulturze niepowetowanymi stratami.

Pogrobowcy Kuomintangu

„FAR EASTERN ECONOMIC REVUE” — HONGKONG

W powojennej historii Azji nie ma bardziej dziwnego anachronizmu, niż resztki 93 kuomintangow-

skiej dywizji, której żołnierze osiedlili się w głuchych rejonach Laosu, Birmy i południowego Syjamu.

Władze tych krajów obawiają się, iż obecność samowolnych osiedleńców stwarza potencjalny pretekst dla międzynarodowych komplikacji, ale, jak się wydaje, pogodzili się z tym złem koniecznym w nadziei, że czangkajskowiecy sami się w jakiś sposób unkestwią.

W pogranicznych, górskich rejonach, bardzo często wybuchają zbrojne incydenty. Nasuwa to niepokojące refleksje, że do dziesiątków żołnierzy czangkajszkowskich kwateruje za ledwie o trzy dni marszu od wyjątkowo uczulonej w sensie politycznym, chińskiej prowincji Junan. Całkiem niedawno, bo w grudniu 1970 roku, w syjamskiej prowincji Czang Rai, graniczącej z Laossem, toczyły się przez dwa dni zacięte walki pomiędzy kuomintangowcami a wojownikami plemienia Meo. Obie strony poniosły straty w zabitych i rannych. Przewidując nowe starcia w oddalonych rejonach kraju, III armia syjamska znajduje się w pełnym pogotowiu bojowym.

Zgodnie z nader dziwną argumentacją gubernatora prowincji Czang Rai, kuomintangowcy działali w ramach „samoobrony” przed „prokomunistycznymi” góralami, próbującymi przeszkodzić im w zajęciu nowego rejonu.

W 1949 roku chińskie wojska ludowowyzwoleńcze wyparły poza granice Chin dziesiątki tysięcy czangkajszkowców, którzy rozproszyli się w północnych rejonach Półwyspu Indochińskiego. Władze francuskie natychmiast internowały wszystkich Chińczyków, którzy znaleźli się na terytorium Laosu, a później umożliwiły im ewakuację na

Tajwan. W Birnie natomiast, na nieszczęście dla Rangunu, okopało się około 20 tysięcy czangkajszkowców. Rząd birmański obawiał się ewentualnej akcji ze strony Chin. W roku 1951 sytuacja stała się szczególnie niebezpieczna, gdy rozbite oddziały kuomintangowskie podjęły próbę konfederacji przeciwko oddziałom ludowowyzwoleńczym w południowych Chinach, ze swoich birmańskich baz wojskowych.

Nie utrzymując stosunków dyplomatycznych z Tajbей (stolica Tajwanu — red.) Rangun zwrócił się o pośrednictwo do ONZ i Syjamu. W roku 1953 udało się Birnie ewakuować dwa tysiące żołnierzy kuomintangowskich na Tajwan. Ale pozostali Chińczycy utworzyli de facto własny rząd i osiedlili się w kraju Szanów — plemienia o tendencjach separatystycznych. Później, w 1961 roku, wyraziło chęć ewakuowania się na Tajwan dalsze 4 i pół tysiąca Chińczyków. Pozostałych kilka tysięcy kuomintangowców zajmuje do dnia dzisiejszego pograniczny rejon, na styku Birmy z Syjamaem i Laossem, gdzie konkurują z plemieniem Meo w produkcji i zbyciu opium. Krwawy konflikt w grudniu ub. roku nie jest jedynym w historii wrogich stosunków, między góralami a chińskimi żołnierzami Kuomintangu.

Prowincjonalne władze Czang Rai podsycają roszczenia czangkajszkowców do ziem Meo, a władze centralne „bacznie obserwują” rozwój wypadków. W Syjamie rozlegają się dziś głosy, wskazujące na niebezpieczne aspekty tej polityki.

Nieproszeni mecenasi

„VOLKSTIMME” — WIEDEN

Uważamy, że piraci powietrzni powinni być karani, a zwłaszcza ci, którzy usiłują dokonać tego przestępstwa za wszelką cenę, nawet za cenę zaboju zalogi samolotu.

W Związku Radzieckim zdarzył się już wypadek piractwa powietrznego, gdy wprowadzono samolot do Turcji, kiedy to przestępca z największą premedytacją zastrzelił 18-letnią stewardesę w momencie, gdy podała sygnał alarmowy.

Morderstwo to do głębi wstrząsnęło radziecką opinią publiczną.

Obecnie, dowody rzeczowe przedstawione podczas procesu sądowego w Leningradzie świadczą, że i tym razem piraci powietrzni planowali zamordowanie zalogi samolotu, po wylądowaniu na lotnisku pośrednim.

Władze izraelskie, jak również ich poplecznicy, nie mają absolutnie żadnego prawa do protestu przeciwko najwyższemu wymiarowi kary

dla przestępców, już choćby nawet tylko z tego tytułu, pomijając inne, że wielokrotnie same wołały pełnym głosem o karę śmierci dla piratów powietrznych, gdy sprawa dotyczyła Arabów, którzy porwali samolot izraelski.

Podczas dwóch nieudanych prób uprowadzenia samolotów, izraelscy agenci bezpieczeństwa, bez sądu i śledztwa, zamordowali zamachowców i to wtedy, gdy zostali oni już ujęci i rozbrojeni.

Teraz Izrael potrzebuje młodzieży, aby użyć jej jako „mięsa armatniego” w urzeczywistnianiu celów agresywnej polityki swego rządu. Tymczasem większość Żydów, zarówno w Związku Radzieckim, jak i we Francji, Anglii, Włoszech, USA i w innych krajach nie chce przesiadać się do Izraela.

Jedenastu skazanych w procesie leningradzkim stało się więc dla reakcyjnych sił na świecie tylko instrumentem w walce klasowej.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ PROF. DR ZDZISŁAW ŻYGULSKI — Ze wspomnień uniwersyteckich
- ★ KRZYSZTOF POGORZELEC — Urzędnicy
- ★ EUGENIUSZ IWANICKI — Buntownik i ogień

oraz rozwijanie konkursu świątecznego „Mówią gmachy” i krzyżówki, felietony, recenzje, nowela kryminalna.

»POLONICA«

NA BIAŁORUSI O ŁODZI

W nr 64 „Literatura i Mastyctwa”, organie Ministerstwa Kultury wychodzącym w Mińsku, stolicy Białorusi, ukazał się obszerny esej znanego prozaka i tłumacza — Janki Bryła o jego licznych przyjaźniach i spotkaniach z polskimi pisarzami. W pierwszej części autor relacjonuje swe spotkania, odwiedziny i rozmowy z Broniewskim, Kruczkowskim, Przybosiem, wspomina S. R. Dobrowolskiego, Bartelskiego, Żukrowskiego i innych. W drugiej części wspomina wzajemne odwiedziny i kontakty pisarskie z M. J. Kononowiczem, wreszcie opisuje swe wrażenia z pobytu w środowisku pisarskim Łodzi i wycieczkę z łódzkiemi kolegami na Kielecczyznę, szlakiem Sienkiewicza, Żeromskiego, Dygasńskiego. Ciepło wspomina swe kontakty i rozmowy z Janem Huszczą, Wiesławem Jazdyńskim, Tadeuszem Papierem, Janem Koprowskim, Ewą Ostrowską, Tadeuszem Chróścielewskim, Igorem Sikirycykiem i in. Wspomina też o zacieśniającej się wymianie kulturalnej między Mińskiem i Łodzią, o antologii poezji białoruskiej, przygotowana przez Jana Huszcę oraz tom opowiadań Janki Bryła w przekładzie M. J. Kononowicza.

PILKA NOŻNA I LITERATURA

Francuska Federacja Piłki Nożnej przyznaje co roku nagrodę pisarzowi za najlepszą książkę o tematyce sportowej. Ostatnio nagrodę tę otrzymał Francis Huger, który pod pseudonimem Lucien Prouvot napisał opowiadanie zatytułowane: „Le ballon bleu” (Niebieska piłka).



Delegacja polska: (od lewej) Jerzy Putrament, Józef Lenart, Zbigniew Żalusi, Leopold Lewin, Jan Koprowski i Wojciech Żukrowski.

NOTATKI z MOSKWY

Dalszy ciąg ze str. 1

Kiedy poszczególnym delegatom przyszło referować sprawy własnej literatury, pojawiały się chwilemi tendencja do przechwałki (jak to u nas dobrze!). Wydaje mi się, że delegacja nasza ustrzegła się tych niebezpieczeństw. Zarówno wypowiedzi Jerzego Putramenta, Leopolda Lewina, jak i pozostałych kolegów z naszej delegacji były krytyczne, nacechowane obiektywizmem, a nade wszystko konkretne, wolne od ogólników i patetycznej frazeologii.

Obrady otworzył Konstanty Fiedin. Ostatni raz widziałem go w 1967 roku. Świetny ten pisarz bardzo się postarzał. Zrozumiałe: liczy sobie lat 79. Toteż nie zdziwił się, gdy drugiego dnia już się nie pojawił. Zbyt to dla niego męczące, a i nie tak chyba ważne jak dla nas, młodszych.

II.

Obradowaliśmy przed południem i po południu po kilka godzin. Ktoś sobie żartował: gdyby spotkanie nasze odbywało się w Tbilisi, po godzinie obrad nastąpiłoby pięć godzin przerwy. Ale tu, w Moskwie, twardego reżimu: pięć godzin dyskusji i godzina wytchnienia. Nie stało nam więc czasu na zwiedzanie miasta i chodzenie do teatrów. Udało nam się jedynie zobaczyć „Nieobykniewny koncert” u Obrazcowa w jego nowym, estetycznie i ze smakiem urządzonym teatrze oraz nowy dokumentalny film Czuchraja „Pamięć”. Teatrem Obrazcowa (który widziałem po raz pierwszy), jestem zachwycony. Dla kukiel tego czarodzieja sceny nie ma rzeczy niemożliwych: wykonują one wszystko to, co może wykonać człowiek, a nawet więcej. Program dowcipny, śmiały, zabawny konferansjer (oczywiście kukla) zestrzajał

wszystko w fascynującą całość. W obszernym foyer teatru stała ekspozycja kukiel, kostiumów i projektów scenograficznych. Miło odnotować, że wśród wielu ciekawych eksponatów znajduje się również szopka krakowska, wykonana ładnie, choć może nie tak ozdobna, jakie widuje się w kraju.

„Pamięć” Czuchraja nasuwa niewesołe refleksje. Film zaczyna się od rozmów z przechodniami Paryża, Londynu i innych miast zachodnioeuropejskich. Reporterzy stawiają jedno tylko pytanie: co pan(i) wie i z czym kojarzy się panu(i) słowo Stalingrad? Na ogół nikt nie wiedział, a jakaś Francuzeczka odpowiedziała z wdziękiem, że pod Stalingradem był Napoleon. Film w dalszych sekwencjach powraca jeszcze raz do lat wojny. Jest surowy, obiektywny, bez owego natręctwa, które tak nam doskwierało w dawniejszych filmach radzieckich o wojnie.

Z kilku krótkich spacerów po wieczornej Moskwie najbardziej utkwił mi w pamięci Nowy Arbat. Dużo sklepów, wielkie ściany ze szkła, ładne wystawy, szerokie ulice — coś z atmosfery wielkich miast europejskich. No i, oczywiście, ulica Gorkiego. Ale w porównaniu z Nowym Arbatem, jest ona monumentalna i nieco staroświecka (co zresztą także ma swój urok). Dziwna jest bezśnieżna i bezmroźna Moskwa w styczniu. Wszędobylscy szperacze stwierdzili, że ostatnia taka zima była tutaj w 1890 roku. Dopiero na dzień przed naszym wyjazdem zaczął padać śnieg, ale w dalszym ciągu temperatura była zerowa i nie nie zapowiadało tegiej, surowej, prawdziwie rosyjskiej zimy.

Nie udało mi się i tym razem zwiedzić Domu Dostojewskiego. Prawdziwy pech. Jestem już po raz trzeci w Moskwie (do trzech razy sztuka?) i wciąż dom autora „Zbrodni i kary” znajduje się w remoncie. Ma być otwarty jesienią tego roku w związku ze 150 rocznicą urodzin pisarza, która przypada dokładnie 11 listopada. Na szczęście minęły już czasy, kiedy Dostojewskiego uważano za pisarza reakcyjnego i ani nie wznawiano jego dzieł, ani o nim nie pisano. Flodur Dostojewski jest zbyt wielkim pisarzem, aby można go było wykreślić z historii literatury rosyjskiej i światowej. Kiedyś przeszkadzał mi w lekturze jego powieści fakt, że z reguły pisał źle o Polakach (wyjąwszy „Wspomnienia z domu umarłych”, gdzie wyraża się o nich z pewną sympatią), ale dziś już mi to jakoś nie wadzi. Nikt nie odkrył jeszcze źródeł tej jego Polakofobii, ale jeśli nawet ktoś to wreszcie zba-

da — nie wiem, czy przyda się to na cokolwiek.

III.

Na zakończenie narady odbył się wspólny wieczór poetów. Mówiliśmy wiersze w swoich odczystych językach, a tłumacze radzieccy odczytywali je potem w przekładach na rosyjski. Na imprezę przyszło 300 osób, przeważnie młodzież (tyle mogła pomieścić sala), publiczność wysłuchiwała tekstów naszych uważnie i w skupieniu i choć wieczór przeciągnął się ponad trzy godziny, nikt nie wyszedł przed jego zakończeniem. Tego właśnie należałoby pisarzom radzieckim pozazdrościć: znakomitych odbiorców. Wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby wieczór taki zorganizowano u nas. Przede wszystkim przyszłoby mało ludzi. Następnie wierciliby się na krzesłach, a poniektórzy opuszczaliby salę w czasie trwania imprezy. Załóżmy mnie ogarnia, kiedy widzę jak na wieczory wybitnych pisarzy przychodzi u nas garstka ludzi. Czy dlatego, że polscy pisarze są gorsi? Że gorzej czytają? Że nie umieją rozmawiać z publicznością?

Z naszej strony na owym wieczorze w Moskwie wystąpili: Leopold Lewin oraz piszący te słowa. Pozwólcie mi przytoczyć wiersz pt. „Pożegnanie ojca”, który tam właśnie czytałem:

*Wtulony w kąć przedziału
czeka na odjazd pociągu.
Pociąg pojedzie daleko,
a ojciec jest tak blisko.
Siedzimy na wprost siebie,
słowa się sączą pomalutku
i nic w nich nie ma ważnego
i ważne w nich jest wszystko.*

*Ojciec wyciąga kapciuch
i robi grubego skrepta.
Dym wąską strugą wędruje
przez okno uchylone.
Tę chwilę pożegnania
trzeba nam, synu, pamiętać.
Mój rok osiemdziesiąty
o drugą potrąca stronę.*

*Konduktor podaje sygnał,
gwar na peronie cichnie.
Obejmujemy się z ojcem,
lecz w oczy jego nie patrzę.
Nikt wzbierającej żalości
z serca mojego nie wygna.
Ojcie, odjeżdżasz na miesiąc,
na rok, czy na zawsze?*

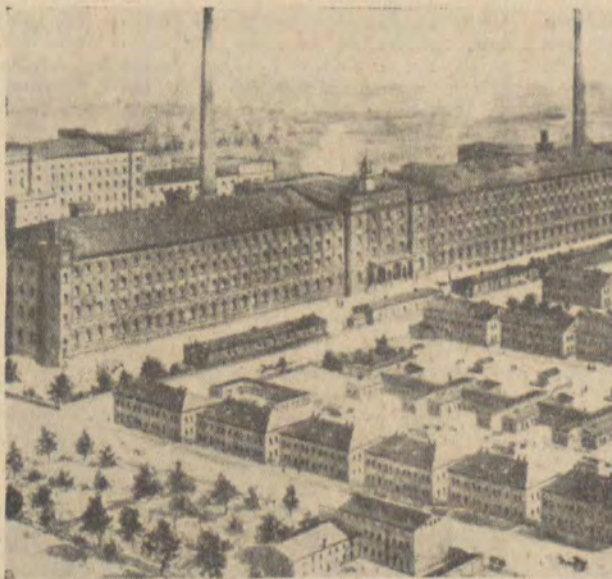
JAN KOPROWSKI

Nowy konkurs • Nowy konkurs • Nowy konkurs • Nowy konkurs

WIELCY ŁODZIANIE

Drodzy Czytelnicy! Prezentujemy Wam serię sylwetek postaci historycznych, związanych z Łodzią. Zadaniem Waszym będzie rozszyfrowanie tych postaci. Zasady są takie same jak w konkursie „Czy znasz architekturę Łodzi” — w losowaniu nagród wezmą udział zarówno odpowiedzi tylko na jedno z zadań konkursowych jak i na wszystkie prezentowane w ciągu najbliższych tygodni. Oczywiście systematyczny udział w naszym konkursie zapewni uczestnikom większe szanse w losowaniu. Odpowiedzi — wylączone na kartach pocztowych — należy nadsyłać na adres: „Odgłosy”, Łódź, Piotrkowska 96 — „Wielcy łodzianie”.

Wśród uczestników konkursu rozlosowane będą trzy główne nagrody w postaci bonów towarowych.
I nagroda — 2.000 złotych
II nagroda — 1.500 złotych
III nagroda — 1.000 złotych
oraz pięć wyróżnień w postaci cennych wydawnictw albumowych.



ZADANIE KONKURSOWE nr 7

Urodził się sto lat temu w Łodzi i tu też współpracował z dziennikami „Rozwój” i „Goniec Łódzki”. Opublikował kilka tomów prozy, ale dla Łodzi pozostanie zawsze autorem tytułu — hasła „Złe miasto”. Tytuł ten nosiły wydane w roku 1911 „Obrazy z 1907 roku” — czyli po prostu reportażowa opowieść o robotniczej Łodzi.

Pisarz ten przekazał naszym czasom wiele obrazów podpatrzonych okiem znakomitego reportażysty, obrazów nie stanowiących tylko opisu historyczno-statystycznego, ale będących dobrą i cenną literaturą. Jako ciekawostkę dodajmy, że pisarz był pierwszym mężem aktorki Mieczysławy Cwiklińskiej. Ważniejsze wszakże jest to, że był znakomitym stylistą i świetnym obserwatorem.

Jak brzmi imię i nazwisko autora „Złego miasta”?

CZTERDZIEŚCI LAT PRZY PULPICIE DYRYGENCKIM

ROZMOWA Z DR ZYGMUNTEM LATOSZEWSKIM

Niedawno ukazała się w prasie codziennej wiadomość o przyznaniu dr Zygmuntowi Lato-szewskiemu honorowej odznaki ZKP za zasługi położone w popularyzacji muzyki polskiej za granicą. Nagrodę tę ustanowił Związek Kompozytorów Polskich w tym roku i postanowił przyznawać ją corocznie. Wśród pierwszych laureatów znalazł się dr Lato-szewski, od 10 lat kierownik artystyczny Opery Łódzkiej, świetny muzyk, znakomity znawca sztuki operowej. Jego to talent, wiedza i doświadczenie są główną podstawą sukcesów Teatru Wielkiego. Jego to przede wszystkim zasługa jest fakt, że placówka łódzka zwycięsko przeszła trudną drogę od Opery Łódzkiej do Teatru Wielkiego, że w ciągu czterech lat teatr ten wystawił przedstawienia, które odbiły się głośnie echem w kraju jako poważne sukcesy artystyczne.

— Panie dyrektorze, czy to odznaczenie było dla Pana niespodzianką?

— Oczywiście, zwłaszcza, że dowiedziałem się o nim z gazet. Jest mi szczególnie miło, że znalazłem się na liście pierwszych wyróżnionych i że ZKP, który dotychczas wyróżniał tylko twórców muzyki polskiej, pomyślał również o odtwórcach, którzy w zasadzie mają obowiązek uprawiania muzyki własnego kraju. Szczególne znaczenie ma w tym wyróżnieniu dodatek: za krzewienie muzyki polskiej za granicą. W moim przypadku oznacza to uznanie dla moich wysiłków popularyzatorskich głównie w dziedzinie opery i baletu, a te dzieła nieczęsto bywały wykonywane za granicą.

— Musi Pan więc mieć na swym koncie sporo tych pozycji?

— Istotnie, uzbierało się tego sporo. Dyrygowałem „Halke” w berlińskiej Staatsoper, premiere „Harnasi” w słynnej Komische Oper Felsensteina, także w Berlinie, przygotowałem „Straszny dwór” w Pradze, pokazałem fragmenty „Pana Twardowskiego” w Monte Carlo, „Tragedyję o Janie i Herodzie” w Lipsku. Nie wymieniłam oczywiście wielu polskich utworów symfonicznych, wykonanych pod moją dyrekcją na koncertach zagranicznych i to już w okresie przedwo-

jennym, na przykład „Poematy symfoniczne” Karłowicza, w Berlinie i Hamburgu, „Koncert skrzypcowy” Szymanowskiego w Monachium itd. A po wojnie w wielu innych krajach.

Staralem się też w miarę możliwości spełniać obowiązek kultywowania muzyki polskiej w teatrach, którymi kierowałem dotychczas w kraju. Mam na swoim koncie kilka prapremier jak „Harnasie” w Operze Poznańskiej w 1938 roku, oraz „Swantewita” Perkowski, a „Damy i huzary” Kamieńskiego oraz „Krakutuk” w Operze Bałtyckiej, a w Łodzi „Romans Gdański” Paciorkiewicza i „Tragedyję o Janie i Herodzie” Twardowskiego. Trudno mi przypomnieć sobie w tej chwili tytuły wszystkich polskich oper i baletów wystawionych przeze mnie, bądź znajdujące się pod moją dyrekcją teatru, ale to na pewno prawie wszystkie opery Moniuszki, „Goplana” Zeleńskiego, „Ijola” Rytla, „Eros i Psyche”, „Beatrice Cenci” i „Casanova” Różyckiego itd.

— Na tak bogaty dorobek składa się zapewne wiele lat pracy. Ile lat poświęcił Pan muzyce?

— Trwam już przeszło 40 lat przy pulpicie dyrygenckim. Dyrygenturę uważam za swój główny zawód, choć z muzyką obcuje znacznie dawniej.

— A więc czas byłby na jubileusz?

— Przyjaciele domagają się tego, ale termin wciąż się odsuwa, bo po prostu nie mam czasu na zgromadzenie dokumentów świadczących o tej działalności. Myślę, że uporam się z tym do jesieni bieżącego roku.

— Przy okazji zdaloby się przypomnieć o jubileuszu nieco mniejszym, ale również istotnym dla nas, łódzian. Przecież w tym roku mija dziesięć lat od objęcia przez Pana Opery Łódzkiej. Była to praca organizatorska nietatwa, ale i zdaje się nie pierwsza w Pana karierze?

— Istotnie, jakoś zawsze miałem szczęście do organizowania od nowa. Ostatnio otrzymałem odznakę honorową Krakowa z okazji 25-lecia Filharmonii Krakowskiej. Przypom-

niało mi to owe czasy, kiedy tuż po wyzwoleniu Krakowa organizowałem tę placówkę, a pierwszy koncert symfoniczny odbył się tam 3 lutego, gdy jeszcze trwała wojna.

— A potem?

— Po jednym sezonie w Krakowie powróciłem na trzy sezony do Opery Poznańskiej, której dyrektorem byłem przed wojną i tam odbudowałem cały repertuar. Potem w Warszawie objąłem stanowisko dyrygenta Filharmonii. Jednocześnie rozpocząłem przygotowania do pierwszego przedstawienia operowego w gmachu Romy. W 1949 r. objąłem Filharmonię w Gdańsku, a jednocześnie zorganizowałem tam pierwsze w kraju studio operowe. W 1952 r. powołano mnie na stanowisko dyrektora Opery Warszawskiej w przebudowanym gmachu Romy. Po trzech latach znów Gdańsk, gdzie objąłem placówkę noszącą już nazwę Państwowa Opera i Filharmonia Bałtycka. Owe lata były okresem dużych sukcesów tej placówki.

— A potem placówka operowa w Łodzi potrzebowała dobrego organizatora i wytrawnego muzyka dla poratowania słabnących sił — i dalej już wszystko wiemy.

— Tak, to było przed 10 laty. Wydaje mi się, że przez ten czas przeżyliśmy ogromny szmat drogi, teatr okrzepł, a sukcesy, które tak cieszą, świadczą o dużych możliwościach artystycznych naszych solistów i zespołów. Nie unikamy trudnych pozycji, a przecież tak trudne jak „Così fan tutte”, „Lohengrin” czy „Aida” zyskały nam największe uznanie.

— Teatr Wielki ma w repertuarze szeroki wachlarz pozycji polskich. Czy to wskazówka realizowana przez Pana polityki repertuarowej?

— Niewątpliwie tak. Wynika przecież z tego zestawu, że zawsze zależało mi na propagowaniu również polskiej współczesnej twórczości operowej. Niestety, nie moja jest wina, że ta twórczość nie jest zbyt obfita. Jednak jeśli tylko ze strony kompozytorów istnieje jakaś wartość, proponuję, staram się ją realizować. Na przestrzeni dwóch lat daliśmy przecież dwie polskie prapremiery.

Wydaje się, że w tej dziedzinie perspektywy są nieco jaśniejsze. Niedawno odbył się konkurs na libretto operowe, zasiadałem w jego jury. Jak się dowiaduję, wyróżniono w tym konkursie propozycje literacko-dramaturgiczne zainteresowały naszych kompozytorów. Liczę na to, że niebawem będziemy mieli na warsztacie nową współczesną operę polską.

Chcę prezentowania nowych dzieł polskich wynika z chęci zbliżenia melomanów do współczesnej twórczości operowej w ogóle. Nie można jednak zaprzeczyć, że twórczość ta, reprezentowana przez wielu wybitnych kompozytorów współczesnych, jest ze względu na swój styl muzyczny niekiedy kontrowersyjna i nie można dziś jeszcze stwierdzić, że nowoczesna opera znalazła już swój jednoznaczny kierunek stylizacyjny. Mam na myśli wyważenie zadań wokalnych i instrumentalnych w dziele tak złożonym jak opera.



Książ Igor — tańce polowieckie Fot. F. Myszkowski

Często są to zadania niezwykle trudne i niewdzięczne dla śpiewaków, a także bardzo trudne w percepcji dla słuchaczy.

Myślę, że stopniowe wprowadzanie publiczności do nowoczesnego repertuaru przez ognia pośrednie, tzw. klasykę modernizmu, jest drogą pewniejszą dla przygotowania słuchacza. Mamy w tym względzie duże zalety. Mało są u nas wykonywane dzieła Brittena, Ryszarda Straussa, Janaczka, Szostakowicza, Prokofiewa, Szymanowskiego czy Strawińskiego.

— Zapewne zalety w dziedzinie upowszechniania literatury operowej są w Łodzi jeszcze większe niż w innych miastach, z tego względu, że Łódź jest stosunkowo młodym ośrodkiem operowym. I tym chyba tłumaczyć należy pewną eklektyczność repertuaru Teatru Wielkiego, prezentującego obok pozycji współczesnych operę klasyczną i dziewiętnastowieczną?

— Istotnie, mamy wiele do pokazania i musimy wiele naszej publiczności pokazać. Układamy repertuar z myślą o niej, ale również z myślą o naszych solistach i zespołach, którym dla doskonalenia warsztatu potrzebny jest ów „eklektyzm”. Najbliższą premierą w naszym teatrze będzie „Uprowadzenie z Seraju” Mozarta, następną — „Dziwczyną z Zachodu” — jedna z późniejszych oper Pucciniego, pi-

sana dla Stanów Zjednoczonych, a po niej — „Białowłosa” Henryka Czajki.

— Panie Dyrektorze, jaki czynnik uważałby Pan dziś za najistotniejszy dla dalszego, prawidłowego rozwoju Teatru Wielkiego?

— Dla obserwatora z zewnątrz zabrzmi to zapewne paradoksalnie i będzie wręcz niezrozumiałe, ale jest to sprawa lokalowa. Wbrew pozorom panuje u nas ciasnota. Brak jest pomieszczeń dla pracy artystycznej. Nie ma odpowiedniej sali dla ćwiczeń orkiestry i chóru, właściwie mamy tylko znakomitą salę dla baletu. Nie ma też właściwych pomieszczeń dla wielu warsztatów i magazynów dla dekoracji, stał nie możemy mieć zbyt wielu pozycji w repertuarze.

— To istotnie brzmi paradoksalnie. Ten gmach był przecież budowany przez tyle lat, że powinien być przemyślany do najdrobniejszych szczegółów.

— Tak, ale przewidziany był dla dramatu i długo nie było wiadomo, że otrzyma go opera. Opera, której zespoły stale się rozrastają. Ale sądzę, że są to problemy, które da się rozwiązać.

— Dziękujemy za rozmowę i życzymy sukcesów Panu osobiście, a także placówce, którą Pan kieruje z takim powodzeniem.

Rozmawiała:
TERESA WOJCIECHOWSKA

WIESŁAW JAŻDZYŃSKI

„JAM JEST DLA CIEBIE JAK OGRÓD”

I oto jesteśmy w Asuanie. Mówią, że to perła Egiptu, jedno z najpiękniejszych miejsc w Afryce. Chciałbym to samo powiedzieć. Uplywa czas, wiele już z Egiptu pozapominałem, ale ten obraz noszę wciąż pod powiekami. Siedźmy wśród wielkiej ciszy na tarasie hotelu „Catacraft-Hotel”, brzydkiego, wiktoriańskiego hotelu, wygodnego przecież i patrzmy, patrzmy godzinami. U naszych stóp życie Egiptu Nil, rozgałęziony w tym miejscu, ponad nami czysty błękit, a tak niezwykle, że współczesny krytyk nazwałby to wszystkim razem. Z błękitnej wody wystają klazy, niby garby olbrzymich wielbłądów, manewrują pomiędzy nimi żagłówki, dywanu kwiatów spadają ku wodzie, a po drugiej stronie sławna Elefantyna, wyspa, poza którą

kończyło się kiedyś imperium rzymskie, niewiele dalej sięgało państwo faraonów. I jeszcze pałac Agi Khana, marmurowy grobowiec tego bogacza, który wiedział, gdzie wybudować sobie rezydencję. Lekki wiatr kołysze gałęziami palm, wachlują się leniwie amarantowe buganville gałązkami, które przypominają sznurki czerwonych korali.

Asuan jest pełen poezji. Dobija brzegu łódź z Elefantyny. Dumne, czarno ubrane kobiety, jak żywe rzeźby pną się po schodkach na wysoki brzeg, dźwigając dzbany na głowach, śpiewa przejmująco muzę, wielki jest Allah, jednością stać musi cały Islam. Ogarnia nas niezwyczajna atmosfera, wchłania bez reszty, zdobywa trudnym do opisanego urokiem. W tych stronach, przed tysiącami lat, pisał egipski poeta:

„Jam jest dla ciebie jak ogród,
Który zalałem dla kwiatów,
I wszelkiego rodzaju pachnących ziół,

Piękna jest w nim sadzawka,
którą twa ręka wykopała,
gdy wiał chłodny wiatr północy.
W tym cudnym miejscu jam się przechadzał

Z twą dłonią w mej dłoni,
A serce me przepięknie było rozkoszą,

gdy szliśmy razem.
Zachwycał się, słysząc twój głos,
i żyje tym, że go słyszę.
Kiedykolwiek cię widzę,
Droższe to dla mnie niż pożywienie i napój...”

Przed zmierzchem niebo opasze tęcza, oczy zachwycą niespodziewane zestawienia kolorów, a potem już niewidoczne nad Polską gwiazdy otworzą wszechświat.

Lecz i współczesność przesycona jest swolista poezją. Gdybym to ja był poetą, słowo daję — napisałbym poemat o asuańskich tamie, choć nie znoszę produkcyjniaków. Jedzie się tam dobre kilkanaście kilometrów przez niesamowity pejzaż. Wokół brunatna, kamienista pustynia, martwe, rozsypane się skały, ani czerwone, ani brązowe, upiorny pejzaż Marsa, wobec którego człowiek staje bezradny. Pustynia jest w tym miejscu przerażająca, cmentarz skał, podany w kolorach u nas nie znanych. A jednak, kiedy od czasu do czasu ta martwa opada, widać na dnie trawę, autentyczną, zieloną i wesolą trawę. Wiedzieliśmy od razu — tama zazielenia okolicę, zniszczy w końcu tę jałową pustkę, może w ogrodzie przemieni, a może w pomarańczowe gaje?

Jeżeli piramida w Gizie zdumiewa turystę swoim ogromem, nie od rzeczy będzie powiedzieć, że tama asuańska to przynajmniej tyle co śledźnia piramid Cheopsa. Ze stali, której użyto do budowy można by zmaistrować piętnaście wież Eiffla. Wiedzieliśmy o tym wcześniej z prasy, ale martwa litera wyobraźni nie poruszy. W pobliżu tamy widzieliśmy dużo jeszcze balaganu, typowego dla każdej wielkiej budowli na ukończeniu. Wznoszono

już jednak bramy triumfalne na znak nadchodzącego otwarcia. Nim nas poprowadzono na miejsce musieliśmy zwiedzić muzeum tamy. Musieliśmy, gdyż nie bardzo nam się chciało, słyszyliśmy, że to odrobina nudne. I rzeczywiście — kupy rysunków technicznych na ścianach, fotografie, plaskorzeźby, jako żywo przypominające naszą radosną twórczość sprzed kilkunastu lat, robotnicy z młotami, kobiety z wiązankami pszenicy, zapatrzeni w światła jutro.

Ale tama to czysta poezja Egiptu przyszłości. Pełnym wdzięku łukiem ciągnie się na przestrzeni pięciu kilometrów. Szerokość korony metrów — pięćdziesiąt, wysokość sto dziesięć metrów, monumentalna, szaro-błękitny wał z kamieni, żwiru, betonu i żelaza. Przed nami iskrzy się w słońcu Jezioro Namera. Olbrzymie rozlewisko przypomina raczej morze, ciągnie się na przestrzeni pięćdziesięciu kilometrów. Z prawej strony złocista świątynia boga Nilu, wyniesiona z dna najmłodszego morza świata. Wielką rolę — warto o tym pamiętać — odegrali przy ratowaniu bezcennych zabytków i nasi specjaliści, zwłaszcza zaś niezmordowany profesor Michałowski.

Powietrze rześkie, nasycone już wilgocią, błękitny, przewodnik jakby trochę zadumany mówi właśnie, że to nowe morze zgromadzi po napełnieniu 157 miliardów metrów sześciennych wody, olbrzymi zapas, którym dowolnie będzie można roz-

porządzać, egipski fellach, a i państwowe gospodarstwa otrzymają życiodajną wodę, o jedną trzecią zwiększy się powierzchnia ziemi uprawnej, potroi się mce elektrowni, powstaną nowe fabryki nawozów, aluminium, wokół góry boksytowe. Kiedy słuchamy przewodnika staje się rzecz niezwykła. W stronę brzegu nowego morza idzie chłop i prowadzi za sobą kozę. Odnosimy wrażenie, że coś jej tłumaczy. W pewnym momencie przystaje, chłop pochyla głowę, wyciąga rękę, jakby chciał zwrócić uwagę swojej żywicieli na jakiś istotny szczegół. Ogarnia nas na chwilę wzruszenie, toż to symboliczna scena, pod nogami ubogiego fellacha, na ziemi idealnie jałowej, zieleni się pierwsza trawa.

Pragnie ziemi egipski chłop, pragnie na niej pracować. Tę oczywistą prawdę potwierdziła nasza wizyta w prowincji Benha, na północny kraj, w żyznej delcie Nilu. Kiedy się przez tę prowincję jedzie, człowiek mimo woli śpiewa, że zna już ten kraj, gdzie cytryna dojrzeje, pomarańczę blask cieniste złoci drzewa. Wszystko tu żyje, pnie się ku górze, bananowe gaje, palmy, rozległe pola ryżu, pszenicy, kukurydzy, trzcin cukrowej. Senna bawoły z zawiązanymi oczami, jak przed tysiącami lat obracają wodne kleraty, woda spływa na pola, kleratom towarzyszą coraz częściej motory spalinerowe. Wzdłuż szosy rzeźnicy sprzedają mięso, nie psuje się wcale w tym suchym powietrzu,

WYNAŁAZEK

Nie przylączę się do pesymistów dyskutujących o przeszkodach, jakie napotyka u nas realizacja wynalazków i patentów. Wynalazek, o którym piszę, doczekał się produkcji.

STARANIA Franciszka Modrego o produkcji jego wynalazku, były nadzwyczaj energiczne, i co za tym idzie — pomysły. Gwoli ścisłości trzeba tylko dodać, że nazwa „wynalazek” jest w tym wypadku nieco na wyrost, bo patent nadał nowym urządzeniom rangę „wzorów użytkowych”.

NARODZIŁ SIĘ POMYSŁ

Było ich trzech. Franciszek Modry — z zawodu monter samochodowy, Józef Bugala — doradca do spraw technicznych i Jan Cieślak — mechanik. Pracownicy Przedsiębiorstwa Transportowego w Łodzi. W roku 1964 zaczęli wspólnie opracowywać projekty dwu dźwigów — burtowego i ramieniowego, które miały pomóc w ładowaniu i rozładowywaniu samochodów ciężarowych, stworzyć większe bezpieczeństwo przy pracy i przynieść spore oszczędności, ponieważ pozwalały na ograniczenie ilości robotników.

Wkład pracy każdego z trójki współautorów był następujący: Modry dał koncepcję obu urządzeń, Cieślak wykonał prototypy. Bugala miał zgłosić je do opatentowania i wliczyć wstępnie efekty ekonomiczne, wynikające z zastosowania dźwigów. Nie nam sędzić, czy wkład pracy współautorów był jednakowy czy nie, w każdym razie postanowili podzielić wynagrodzenie na trzy równe części. Kiedy zrealizowany pomysł obu urządzeń zgłosił do Klubu Techniki i Racjonalizacji w swoim przedsiębiorstwie, sprawa weszła na drogę urzędową.

JEST PATENT

Dyrektor podpisał projekt, mimo, że wylczenia oszczędności z racji stosowania obu dźwigów były ustalo

ne nieco dowolnie i niezupełnie zgodnie z rzeczywistością. Następnie Przedsiębiorstwo Transportowe zgłosiło je w listopadzie 1964 roku do Zjednoczenia, które obowiązane jest do udzielenia fachowej pomocy oraz koordynacji i nadzoru podległych mu zakładów. To przypomnienie powszechnie znanej roli Zjednoczenia tylko z pozoru wydaje się niepotrzebne, przyda się jednak w dalszych rozważaniach.

Zanim jeszcze Zjednoczenie rozpatrzyło racjonalizatorskie projekty, Modry postanowił działać na własną rękę i poinformował o prowadzonych pracach odpowiedni Departament w Ministerstwie w Warszawie. Ponieważ zainteresowały one zarówno kierownictwo Departamentu jak i kierownictwo Resortu, Modry złożył w Departamencie kilka wizyt, w wyniku których w Ministerstwie postanowiono, że wskazane będzie rozpoczęcie produkcji dźwigów na szerszą skalę.

W grudniu 1964 roku Zjednoczenie zatwierdziło projek

ty, a następnie Urząd Patentowy nadał im rangę wzorów użytkowych. Autorzy otrzymali świadectwa autorskie, a Przedsiębiorstwo Transportowe — świadectwo ochronne dla obu urządzeń. Oznaczało to, że projekt stał się własnością państwa, a wszelkie dalsze rozporządzenie nim należy wyłącznie do Przedsiębiorstwa.

JEST RÓWNIEM PRODUCENT

Patent jednak nie załatwia produkcji wynalazku. Modry wiedział o tym doskonale, ale był uparty. Musiał urzeczywistnić swój pomysł. „Z pominięciem jednostki nadrzędnej, czyli Zjednoczenia” — jak stwierdza pewien dokument — Franciszek Modry w dalszym ciągu pozostawał w bezpośrednim kontakcie z Departamentem. Jego gorliwe zabiegi wokół zorganizowania produkcji dźwigów szybko przyniosły efekty. W końcu 1965 r. miał już producenta — Spółdzielnię Rzemieślniczą w Łodzi, a Departament powiadomił wszystkie przedsiębiorstwa transportowe w kraju o potrzebie wyposażenia samochodów ciężarowych „Star” w dźwigi burtowe i ramieniowe, polecając składanie zamówień do Przedsiębiorstwa Transportowego w Łodzi. I tak Przedsiębiorstwo stało się koordynatorem i organizatorem produkcji obu urządzeń, które demonstrowane w tym czasie na Targach Poznańskich i ekspozycji w Warszawie, zdobywają uznanie wysoko wówczas postawionych osób.

Produkcja dźwigów rozpoczęła się w styczniu 1966 roku, a na Modrego, poza przysługującym mu wynagrodzeniem, spadł splendor uznania społecznego w postaci: Honorowej Odznaki m. Łodzi, Medalu za Obronność Kraju, Złotej Odznaki Związku Zawodowych, Złotego Medalu Zasługi, Brązowego Krzyża Zasługi i Odznaczenia Zasłużonego Pracownika Handlu.

I na tym właściwie można by zakończyć historię o Franciszku Modrym — gorliwym autorze, który doprowadził do produkcji swego wynalazku. Ale życie, jak to zwykle bywa, dopisało dalszy ciąg.

DWIE ROLE MODREGO

Pewne fakty, jak choćby ogromna zapobiegliwość Modrego, albo możliwość bezpośrednich i częstych wizyt w Ministerstwie, mogą wywołać zdziwienie. Toteż czas ujawnić to, co jeszcze nie zostało powiedziane. Nasz bohater był nie tylko autorem wynalazku, ale od 1951 roku także dyrektorem Przedsiębiorstwa Transportowego. Ta dwoistość miała przynieść fatalne skutki. Co prawda Ministerstwo traktowało go nie jako autora urządzeń dźwigowych, ale jako dyrektora przedsiębiorstwa, w którym autor pracuje, a Zjednoczenie wydawało się nie mieć precyzywanego poglądu, to przecież on sam dwoistość ową dobitnie odczuwał.

Pierwszym sygnałem, z którego można było wniosko-

wać, że istnieje Modry — dyrektor i Modry — autor, były umowy dotyczące projektów racjonalizatorskich. Umowy, niezupełnie dokładnie i niezupełnie zgodnie z rzeczywistością ustalone, Modry musiał podpisywać sam ze sobą. Z okresu późniejszego można przytoczyć następujące niedokładności, choćby przetarg, w wyniku którego produkcję dźwigów powierzone Spółdzielni Rzemieślniczej. Przetarg ogłoszony przez Przedsiębiorstwo Transportowe w październiku 1965 roku, był w gruncie rzeczy fikcją potrzebną, aby umowa między Przedsiębiorstwem a rzemieślnikami była formalna.

PRZEPISY I BODZCE

Właśnie podczas podpisywania umowy dyrektor i autor wynalazku w jednej osobie — Franciszek Modry, dokonał najważniejszego posunięcia. Zażądał mianowicie, aby w cenie: 12.400 zł dla dźwigu ramieniowego i 16.600 dla dźwigu burtowego Spółdzielnia w kalkulowała wynagrodzenie dla autorów projektu w wysokości 1.100 złotych od każdego dźwigu. Był to jeszcze jeden zupełnie nowy wynalazek Modrego, polegający tym razem na „zreformowaniu” ustawy o wynagrodzeniu autorskim. Musiał użyć przekonywujących argumentów, skoro rzemieślnicy na to poszli. Zresztą umowa gwarantowała długoletnią współpracę, sypały się zamówienia z całego kraju, a Spółdzielnia miała wpłacać owe 1.100 złotych nie do kiesze-

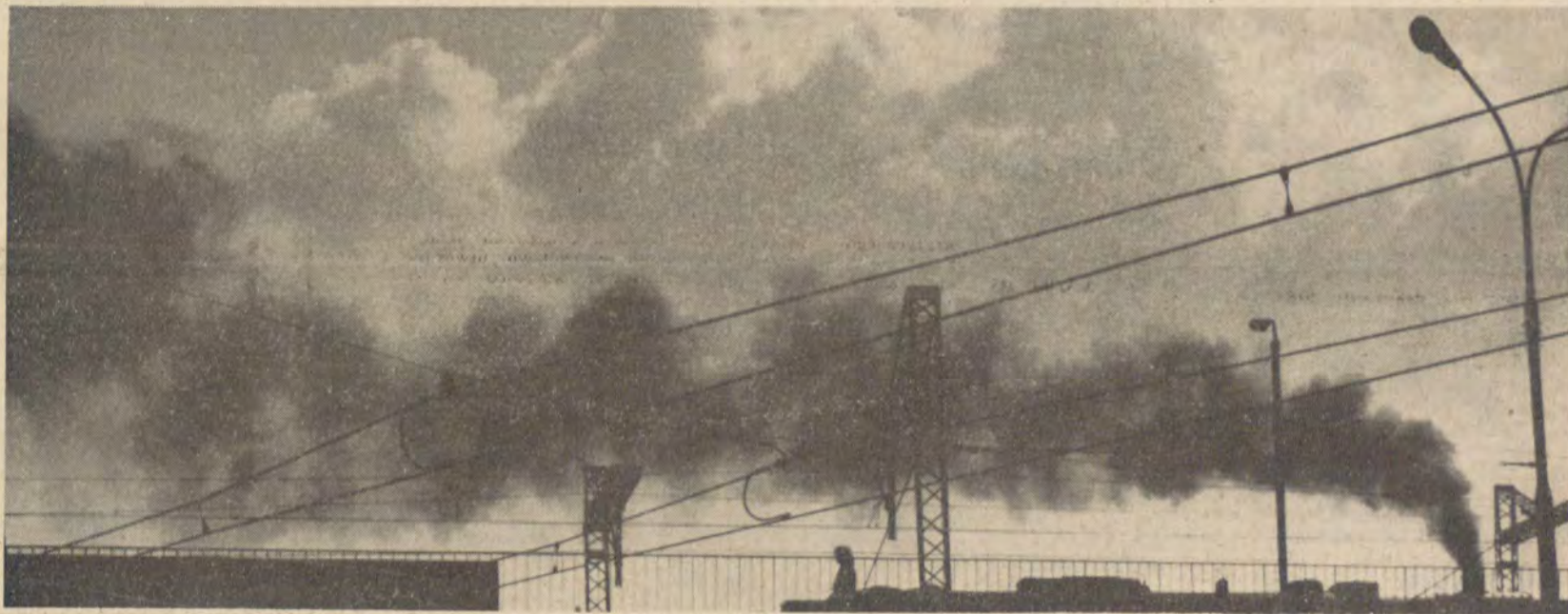
ni dyrektora, ale na konto Przedsiębiorstwa Transportowego. Poza tym spółdzielcy nie znali przepisów.

Od stycznia 1966 roku do stycznia 1969 roku Spółdzielnia wyprodukowała 812 dźwigów i od każdego na konto bankowe Przedsiębiorstwa przelewała 1.100 złotych, co łącznie dało 866.413 złotych. Sposób, w jaki te pieniądze zniknęły z konta przedsiębiorstwa był prosty. Modry jako dyrektor wydawał polecenia i podpisywał każdorazowo odrębne listy płacy, dzięki czemu jako autor systematycznie powiększał przez trzy lata objętość swojego portfela o owe 1.100 złotych. Ponieważ te operacje finansowe wymagały jednak pomocy choćby księgowego, do trójki współautorów — pamiętajmy, że oficjalnie autorami dźwigów było trzech racjonalizatorów — Modry dookooperował księgowego Rojka, który za „specjalne czynności” pobrał w ciągu dwu lat przeszło 70.000 złotych.

REWIDENT R. I INNI

Po sprawiedliwości trzeba jednak przyznać, że największą zagadką dla siebie Modry. Przeszło 600 tys. zł. Łatwo było obliczyć, bo

Dalszy ciąg na str. 8



Łódź — wiadukt Fot. W. Parys

ale my nie jesteśmy zachwyceni tego rodzaju handlem. Mięso jest potwornie zakurzone. Na polach ludzie z motykami, pomiędzy nimi białe ibisy, kapusta obrzymbia, stoi na wysokich łodygach. Jakże wielkie byłoby tu zajęcie, gdyby byli! Egipt nie zna zajęcia w naszym pojęciu, za dużo ludzi na jednym hektarze, prócz ptaków, żadne dziko żyjące zwierzę tu się nie utrzyma.

Zwiedzamy wieś Abulget. Jest to wieś odpowiadająca idealom rewolucji naserowskiej. Nowa szkoła, dzieci, prześliczne dzieci Egiptu — czyste, uśmiechnięte, ubrane w ładne, błękitne fartuszki. A ludzie budują sobie domy, lecz nie z nilowego mułu, tylko z cegły. Jeden drugiemu. Wcale nie ma jakiejś specjalnej organizacji, buchalterów, magazynierów, kontrolerów, po prostu — wspólnymi siłami buduje się domy dla Hassana, Abdela, Mahmuda. Gorąco aż trudno uwiaryć, cały czas zresztą zdawało mi się w Egipcie, że jeszcze kilka minut, a spadnie deszcz. Pijemy Coca-cola po środku obrzymbiej plantacji róż. Róż są piękne, pachną inaczej niż nasze i wyglądają inaczej. W Polsce nie widziałem róż w tonacji amarantowo-fioletowej. Różę z Abulget wędrują do Szwajcarii, Danii, Szwecji, Norwegii, chłopcy z tej naserowskiej wsi znacznie zamożniejsi, galabije na nich czyste, spojrzenie pogodne. A jednak i tu spotkała nas niezwykła przygoda. Jeden z mieszkańców Abulget koniecznie chciał nam pokazać łaskę Allacha, której

tego roku doznał. Bardzo byłem ciekaw. Chłop zaprowadził nas na swoje pole i z dumą pokazał zagon kwitnących ziemniaków.

— Czy w Bolandzie są też patatki? (ziemniaki)

Odpowiedzieliśmy, że i owszem, są.

— A czy dużo?

Odpowiedzieliśmy, że bardzo dużo.

— Więcej niż pomarańczę?

Odpowiedzieliśmy, że wiele razy więcej.

— Bolanda to bardzo bogaty kraj, słyszałem coś o tym.

W tłustej żyznej delcie Nilu, wśród gajów pomarańczy i cytryn, gdzie bawelna uchodzi za najlepszą w świecie — prawdziwym dobrodziejstwem Allacha jest również ziemniak. U nas raczej symbol biedy. Pracowity fellach zbiera trzy razy do roku i stosuje racjonalny płodozmian. Socjalizm arabski i na tym polega, że się mnóstwo ludzi kształci dla potrzeb rolnictwa. Tamą da ziemię, siedemdziesiąt kilometrów na zachód od Nilu płynię podziemną rzeką, wskazuje na to wyraźnie równy szereg oaz. Pierwsze próby wierzeń okazały się pomysły, jest woda na pustyni. Trzeba pieniędzy i spokoju.

A z pieniędzmi nie najlepiej, Egipt stracił zyski z Kanalu Sueskiego, spokoju także nie ma, tylko zawieszenie broni. Turystów znacznie mniej niż zwykle, znaczna część dochodu narodowego musi być przeznaczona na cele obrony. Powtarza więc fellach — Allah jest cierpli-

wy, niecierpliwości jest dzieckiem szatana i czeka, od wieków czeka na wodę i ziemię.

Nie jestem politykiem w odróżnieniu od Romana Bratnego, trudno mi więc powiedzieć, jak się w końcu zakończy konflikt z najężdżą izraelskim. Prasa egipska, a także nasi rozmówcy — opowiadają się za pokojowym rozwiązaniem konfliktu, po prostu szanując uchwałę Rady Bezpieczeństwa i domagają się takiego samego szacunku od Izraela. Na razie bez skutku. W tym stanie rzeczy — trzeba się zbroić, doskonalić armię, rozbudowywać nie tylko środki obrony, ale i sposobie się do ataku.

Byliśmy na froncie, dotarliśmy tam, gdzie chciałoby się znaleźć wielu reporterów, ale nie może. Łaskawie czytelnik zechce mnie w tym miejscu zrozumieć: będę musiał przemilczeć wiele szczegółów dotyczących spław czysto wojskowych. W każdym razie widzieliśmy bardzo głęboko usytuowaną obronę egipską, kilkudziesiąt kilometrów najrozmaitszego typu stanowisk artylerii, broni pancernej, odwodów ruchomych i... lecz dajmy pokój. Najpierw nas przyjął na swoim stanowisku dowodzenia jeden z generałów. Na jego życzenie przekazałem ocenę sytuacji, którą nam przedstawił. Izrael świetnie sprzedaje swoje pierwsze przewagi, dysponuje wpływami w wielu krajach kapitalistycznych. Egipt wyciągnął odpowiednie wnioski z pierwszej fazy wojny tak, że obecnie nie może być mowy o sukces

sach Izraela. Egipt posiada wystarczającą dobrą obronę, najlepszy dowód, że po pierwszych próbach naruszenia strefy powietrznej ZRA, Izrael w ogóle nie próbuje wysłać swoich samolotów, gdyż strącenie ich jest obecnie stosunkowo łatwe.

Jak z tego widać, generał nie był zbyt rozmowny i ja go rozumieć, okazał się jednak bardzo gościnnie. Nie zagraliśmy długo miejsca przy świetnej kawie i jedynych w swoim rodzaju sokach, ruszyliśmy na front, do Suez w towarzystwie brygadiera i grupy młodych oficerów sztabowych.

Z rozmowy odniosłem wrażenie, że zwłaszcza młodzi oficerowie prezentują pewien rodzaj dumy narodowej. Nie ma w tej dumie postawy agresywnej, czy nacjonalistycznej, lecz oni będą się bili do upadłego, jeśli Izrael nie opuści strefy kanału i Synaju, będą chcieli dowiedzieć, że nie są złymi żołnierzami.

Suez to dzisiaj martwe miasto żywych żołnierzy. Z 260 tysięcy mieszkańców pozostało około 8 tys. Prezydent miasta przyjmuje nas w bunkrze na pytania odpowiada chętnie. To nie jest propaganda. Izraelczycy naprawdę niszczyli świątynie, szkoły, szpitale, budynki użyteczności publicznej, przecinali bombami, rakietami i pociskami artyleryjskimi żyły miasta — wodociągi, urządzenia kanalizacyjne, sieć elektryczną. Zdumiewająca jest trafność tego bestialstwa, bomby spadały na źródła wody i kanały nawadniające, ale fellach egipski nie chciał się

ewakuować, zniósł wszystkie bombardowania.

Port Tewfik, część Suez leżąca tuż nad kanałem, jest zupełnie zniszczony. Rumowisko domów, pięknych ogiń, delikatnych, dziczące ogrody, gdzie spada nikomu nie potrzebna pomarańcza — czynią zwłaszcza na Polaku wstrząsające wrażenie. Pogruchołane doki, rdzewiejące maszyny, podziurawiony wieżowiec, na dachu postrzępiona flaga Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tu nikt już mieszkać nie może, cywil, zwykły kupiec, urzędnik, małe dziecko okazały się największym wrogiem Izraela. Czesko i Bratny, obaj przecież powstańcy warszawscy, bardzo przeżyli nasz pobyt w Tewfiku, mieli po temu szczególne prawo. Szliśmy przez nieplewione ogrody, omijaliśmy stanowiska broni maszynowej, zaglądałszy w nieme, martwe oczodoły domów, wiszą jeszcze obrazy na ścianach, odnajdywaliśmy porzucone zabawki dziecięce. Przez jeden ze zrujnowanych, pięknych ogiń domów, dotarliśmy nad kanał. Po drugiej stronie, za zasiekami z drutów kolczastych, dostrzegliśmy bez trudu tamtych.

Do kraju wracaliśmy spokojnie o los konfliktu na Bliskim Wschodzie. Egipt rozwija się mimo trudności, nabrał rozmachu, choć nie rozwiązał swoich problemów społecznych. Wracaliśmy spokojnie, wiedzieliśmy już, że sytuacja w naszym kraju przeszła swoją dramatyczną fazę.

WIESŁAW JAŻDŹYŃSKI

W miasteczku upał kładł się pomarańczowo na dachach i murze wokół kościoła. Rynek był pusty i czysty, jak przystało na dzień świąteczny. Spokojny gesty, zawieszony kotłował się w tym miasteczku bez wyjścia. Zdaje się, że byłem trochę przysypany mączką kredową, która w podziemiach muzeum unosi się, a przy każdym dotknięciu jakiegoś kolumny, kawałka portyku, maski czy nawet obrazu po prostu tworzy tumanu uiatującej bieli.

Młody uczeń „profesora” odnalazł mnie w bocznej nawie muzeum, która w tej części ścięta była pod ostrym kątem i przysypała do połowy listewkami różnej szerokości i długości; niektóre były gładkie, lśniące, inne gięły się pod palcami jak sprężyny. Ta część muzeum wyglądała jak zagraczona komórka. Żal mi było witraża, który, zasłonięty drewnem, tylko swą górną częścią zaznaczał. Mimo piwnicznego mroku wszystko świeciło arzemem i kolorami witraża.

Niedługo zabrałem w podziemiach, tym bardziej, że uczeń „profesora” rycnio przestał się mną zajmować i gdzieś zniknął. Loszedełem go w ciemności, z której, którą gotów byłem uznać za podziemiach, była parterem gólczej, oświetlonej, zapadniętej w ziemię. Powoli i ja wyszedłem z tej ciemnej piwnicznej ciszy, gdzie wszystko było białym mrokiem i przypominało odległe dzieje, chociaż wartości zabytkowej, jak sądzę, nie przedstawiało. Szerokimi, piaskami schodami szedłem, potykając się o grzyby, aż dotarłem na szczyt rozległej, okrągłej baszty. Maszyne bioki kamienia leżały w białym pyłu, a wszystko w słońcu mieniło się i drgało jak roztopiony metal.

W dole, pod skarpa, rzeka opływała zielone wzgórza. Stałem chwilę i spoglądałem z krawędzi w dół na wąską uliczkę cichą i ciepłą, pnącą się w górę. W oknach wąskich kamieniczek nikogo nie mogłem dostrzec.

Dziwny urok rozpościerał się na dnie miasteczka, na tej uliczce samotnej, więc miałem ochotę skoczyć z baszty, ale zaraz lekkie dreszcz strachu przebiegł po mnie, a odgłos kroków niewidocznego wędrowca dał mi coś do myślenia. Po krążankach i występach muru baszty zszedłem ostrożnie w dół, zdając sobie sprawę, że strach mogłoby sparaliżować zręczność mojego kroku i wędrowka mogłaby się niepomyślnie skończyć. Było mi radosne. Nie należało się spieszyć. Zawsze tak myślałem, nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu. Tyle było ogromnie interesujących rzeczy, niekoniecznie tych największych. I tak dojdę, myślałem, sprawdzam siłę nóg i śmiałem się, chociaż to nie miało większego sensu, a obawa, która każdego ranka budziła się o czu, pierzchała po przetarciu oczu.

Powoli szedłem nad skarpa, sady rozkwitające, stopniami otaczały luk rzeki, że nawet trudno było dociec skąd i dokąd płynie ta woda coraz bliższa.

W pensjonacie należało się przebrać. Niekiedy pośpiech wywołują okoliczności małe, nieproporcjonalne w stosunku do zdarzeń, których przyspieszyć się nie da. Moż na później dziwić się tej chwili irracjonalnej, prawie komicznej, która jak nie nakręcony budzik dzwoni. Tak więc jeszcze nim mi podano cośkolwiek do pokrzepienia ciała, siedząc tyłem do secesyjnej sali, na ogromnym fotelu, przed okrągłym rzeźbionym stołem, zacząłem się przebierać. Pod stołem stała moja zniszczona walizka, na niej skarpetki, spodnie i wiele innych części garderoby. Zdjąłem osypane białą dżinsy, i wówczas zauważyłem, że mam na sobie różowy, buflasty przyodziewek dolny, ozdobiony białymi wstążkami przy kolanach.

Trochę głupio się poczułem, wszak nie pamiętałem, żebym coś takiego rankiem wciągał na siebie; obejrzałem się zatem dyskretnie. Sala nie była jeszcze zbyt wypełniona, wszyscy czekali, nie zwracając na mnie uwagi. I wówczas złość mnie ogarnęła.

Nie twierdząc, że jestem człowiekiem łagodnym, jeżeli stwarzam takie pozory, to tylko dlatego, że nie czuję złości do ludzi, że są inni ode mnie, lub nie zgadzają się z moimi sądami.

Ujrzałem jedną skarpetkę bez pary, moja ulubiona skarpetkę, jak leżała samotnie na wpółotwartej walizce. Odszedłem więc w gniewie od okrągłego stołu, kierując się w stronę baru. Przy barze

usłyszałem swoje nazwisko. Dwóch młodych ludzi stało bokiem do mnie, a frontem do kieliszków i nie mogłem dociec, który z nich mnie wzywał.

Nagle jeden z nich odwrócił się tak szybko, że nie zdążyłem obejrzieć jego twarzy, objął mnie za szyję całym ramieniem i zwał na ziemię. Dusłem się w tym uścisku, być może przyjaznym, i knę się na wszystko, że krzyk, który wydałem, nie był wyrazem wrogości czy strachu. To był krzyk zadziwienia. Nikt na sali nawet nie drgnął, tylko uczeń „profesora”, z całą pewnością nie ten z archiwum baszty, będąc dyrektorem lokalu, poczuł się w obo-

ROMAN LOBODA

PRZYGODA W SENNYM MIASTECZKU

wiązku ratowania porządku i rozdzielił nas, prawie nas nie rozpoznając.

Następnie, działając zgodnie z instrukcją, usiłowałem wyrzucić mego przyjaciela w sposób brutalny. Powiedziałem, że jest poetą, a gesty, które czynię w takiej sytuacji poeta, są formą profesjonalnego uznania, zatem nie godzi się tak traktować mego przyjaciela.

Wydaje się, że słowo „profesjonalne” odniosło skutek. Uczeń „profesora” oddalił się obojętnie, nie zaszczycając nas spojrzeniem. Nie mieliśmy sobie już nic do powiedzenia, wszak nadmiar słów zaciemnia treść.

Gdy wdrapywałem się na pierwszy piersień obronnego muru, ujrzałem Annę. Stała jak grecka bogini, że nawet wątpię, czy to możliwe, by ona tak zwyczajnie, tak wyglądała z niewielkiej odległości. Opowiedziałem Annie o czasie skupienia i czasie odprężenia i o tym, że najtrudniejsze sprawy wydają się niepojęte.

Anna się śmiała radośnie, bo i czas ku temu był właściwy, a i mnie coś rozpięrało w środku, że tylko uciec. To też jej powiedziałem.

Nie wiem, czy zrozumiała, czy tylko pojęła, bo Anna w najprawdziwszy w świecie sposób na wszystko reagowała, jak antyczna święta danina ofiarna. Pamiętam jak Anna klęczała oparta rękami o kamienną płytę. Czarne włosy dotykały ziemi. Rada starszych roku oddawała ją na ofiarę. Znali jej prawdziwe przeznaczenie. Nie było w niej fałszu ani kłamstwa, prócz tej odrobiny, którą osypuje cywilizacja, tego gestu obronnego i strachu czającego się w oczach, gdy radość odchodzi. Myślę, że zaliczenie Anny do najszlachetniejszej ze zwierząt, było barbarzyństwem, wynikającym z prerafinowania cywilizacją, chociaż ta jej cecha prostoty mogła budzić podejrzenie.

Anna klęczała, a raczej trwała w zwierzęcej postawie bez ruchu i nikogo nie wzruszał ten bezwład, który nie był rezygnacją, lecz porażeniem.

Nie znalazłem wówczas Anny, nawet nie widziałem jej twarzy. Stałem wśród innych i wyczuwałem wszystkie drgania jej strachu i to szczerze poddanie woli, której ani ujrzeć, ani zrozumieć nie mogła, by była ponad nią — wibrowała w powietrzu. Umysłny odpiął jej kołczyki i wprawnym ruchem wyrwał rzesy, długie na palec, przejechał dłoń po grzbiecie i wydobyl z zanadru potężny, okrągło zakończony nóż, jak do krojenia wędlin. Wiedziałem, że chce jej złamać kręgosłup. Nie znalazłem wówczas Anny, ale poczułem ból tak straszny, jak własny i żal jak nad niczym dotąd, że to zniszczenie, ta ofiara nie zbawi świata.

Zatrzymałem umyślnemu rękę i powiedziałem, że Anna jest moja, chociaż nie widziałem jej twarzy.

Nie pojęli mnie, ale poczuli się zwolnieni z obowiązku, co jest jedną z najbardziej wyrafinowanych rozkoszy świata współczesnego. Wzruszyli ramionami. Pamiętali, że muszą, ale serca nigdy nie mieli do końca, a teraz w

przekonaniu, że bez nich dalej się to dokona; odeszli z czystym sumieniem.

Nie obiecywałem Annie szczęścia, nawet w dobroć swoją wątpiłem, ale chciałem uratować tę prawdziwość niezłomną, może cięższą od kamienia, którą za zwierzęcość brano.

Teraz Anna stoi w słońcu, że nawet wątpię, czy to możliwe, by ona tak znów zwyczajnie wyglądała z niewielkiej odległości.

Nie wiem, czy zrozumiała, czy tylko pojęła, co powiedziałem, a przecież nic w tym nadzwyczajnego nie było. Więc polecałem te kilkanaście metrów nad ziemią, a ona została. Może nawet nie

zauważyła mojego niewinnego wysoku.

Zdawało mi się, że „profesor” spaceruje po swojej warowni, więc zapragnąłem wymiany słów z wybitnym uczonym, mając ten radosny sceptycyzm w sobie, że jego mądrość nie zamąci spokoju, który nie bez trudu zdobyłem w samotności i skokach. Natknąłem się na dwóch ludzi w togach i łańcuchach, podobnych do siebie. Gdy zacząłem mówić do „profesora” zrobił zdziwioną minę.

— Pan się zwraca do pani, a to nie ja — twierdził z niesmakiem. Mówiłem do niej, choć w niczym nie różniła się z „profesorem”. — Pan się zwraca do „profesora”, a nie do mnie — karcila mnie ironicznie.

Sytuacja stawała się nieco dwuznaczna i czułem, że mój pierwotny głód wypowiedziania wyszukanych zdań nie zostanie zaspokojony, bowiem uznali zapewne, że nie mam im nic ciekawego do powiedzenia.

Zacząłem ich prowokować mądrym milczeniem. Zabawiali się łańcuchami, patrząc przeze mnie w dal, gdzie rzeka półkolem płynęła. Już miałem odejść w pokój, gdy jedno z nich zaczęło się oddalać.

— Jak pan mnie poznał — zapytał „profesor” po chwili. Był to jednak on, gdyż na twarzy nie wiele się zmieniło, a godność dykcji i niskie tony głosu wskazywały na to. — Więc co? — powiedział. Milczałem przezornie. — No, dobrze, teraz jesteśmy sami. Ona mnie kępuje, przy niej nie mogę być sobą, jest zbyt nachalna w podobieństwie, a poza tym, to nie ja nią jestem, bo ona donosi. — Rozumiem — powiedziałem. — Pan mnie rozumie, to dobrze. Możemy być szczerzy, jestem dość zwany i niczym mnie pan nie zaskoczy. — Poczuliśmy się dotknięty.

— Nie zaskoczę — powiedziałem. — Proszę bardzo, mogę skoczyć z tego muru!

Zaczął się śmiać. — Nie zaskoczy, ani nie zadziwi — powiedział.

— Nawet gdybym sfrunął z tego warownego muru — wykrzyknąłem.

Zasłabł się. — Ej, ej, młody człowieku...

— Nie jestem od pana młodszy! — Ale głupstwa się pana trzymają.

Wówczas nie wiem jak to zrobiłem... bo przedtem nie można było tego brać poważnie, tak między nami mówiąc... Przedtem takie małe sobie skoczki, z niewielkiej wysokości i niezbyt daleko.

No, więc pofrunąłem. Jak sepi! Jak orzeł. Rękami tylko szach, szach... Nad skarpa i w tę małą wąską uliczkę. Lądowanie miałem miękkie, na podkurczonych nogach, jedna z tyłu i bardziej ugięta. Nieraz się widziało tych wszystkich Marusarzy, Przybyłów, Laciaków — nie licząc zagranicznych gwiazd.

Odwróciłem się. „Profesor” stał na brzeжку swej wieży, rozcapierzony, z rękami nad głową, nieruchomo trwał. Pomachałem mu wesoło! zachęcałem gestami, by też skoczył. Wówczas on wstrząsnął się nagle, odwrócił i pognął długimi susami. Rozwarł z impetem cięż-

kie, kute drzwi, prawdziwe arcydzieło średniowiecznego kowalstwa i zniknął na enwilę. Przykro mi się zrobiło, bo jeżeli już nie poszedł w moje ślady, to czemuż z taką furją opuścił mnie w enwili mej niewinnej radości? Milej by było razem z nim się racować. Z ciężkim sercem zmierziałem z powrotem ku baszcie, gdy nagle on wypadł z wiosem zmierzwiomym i z flintą w ręku, podbiegł do okna strzeżniczego i zaczął mierzyć. Wydało mi się to dość nierealne, bo gdzież on, który przed chwilą duszę przede mną otwierał, gdzieżby teraz mógł we mnie czymkolwiek mierzyć. Więc nie kryłem się wcale, tylko stałem z tym jeszcze ciężkim sercem samotności, a on mierzył.

Zza rogu wyskoczył piekarczyk młody, jak biały kot. Czyżby to był uczeń „profesora”? Tak, któryś współpracownik archiwista, gdyż patnęł miał we włosach i krzyknął: uciekajmy, na Boga! Uciekajmy!

— A czemuż to — zapytałem, nie tracąc spokoju.

— Ja go znam, to mój mistrz ukochany. Już dawno na mnie poluje!

Chciałem go osłonić własnym ciałem, mimo że cięższy był znacznie ode mnie, lecz odepchnął moją pomoc i dał potężnego susa. Świsł przesył powietrze. Widocznie jednak profesor nie był najlepszym snajperem, może nawet strzelcem lub także w wojsku mógł nie służyć, bowiem pociski dość niemrawo płynęły, tak, że lot ich mogłem śledzić, także, każdy na palec wskazujący, duże, łukiem szybowały, a może broń była nienaolwiona, dość, że zdążyłem na czas uskokować, a i mego towarzysza wepchną w bramę.

— Nic strasznego — pocieszałem, lecz on drżał cały.

— Pan go nie zna — dzwonił zębami, — ale ja, ja uwielbiam go z całej duszy.

— No, tak — pomyślałem — nawet mnie, który dzielił z nim tę śmiertelną chwilę, nie ufa.

— Dość — rzekłem stanowczo — niech każdy idzie w swoją stronę. Dwururka schowana.

Powłókił się, jak lachman. Współczułem mu szczerze, bowiem nie mogłem pojąć jego przewrotności.

Co innego ja. No, zachowałem się głupio, jak chłystek jakiś. „Profesor” mógł się czuć urażony. Ale on, jego ukochany uczeń i współpracownik, tak przewrotnie uciekał, rzucając tym kalumnię na mistrza?

„Profesor” snadź postanowił dać mi uczciwą naukę, w oka mgnieniu bowiem zebrał sporą gromadę co cięższych mieszczan i co koń wyskoczył, ruszyli ku mnie, zbierając po drodze kamienie i dragi. Z zamysleni wyrwał mnie ich wrzask okrutny. Cóż miałem uczynić, widząc tych poczytych ludzi, przejętych profesorską postawą. Z wrodzoną żwawością pomknąłem w górę, a później po schodach, gdzie w hoteliku małym i schludnym czekała na mnie Anna.

— Jesteś — powiedziała z prostotą i o nic nie pytając wyszła na balkon.

Właśnie zagubiwszy ślad mojej postaci, tłoczyli się, choć było dużo miejsca i gapiłi dobrodusznie wokół.

Anna stanęła na balkonie, a oni zapomnieli o swoim zadaniu i „profesorze”. Stała tak, jej oczy były wielkie, ciepłe i błyszczące, a postać pełną siodłaczy, jak kapłanka milcząca i jak kapłanka nieodgadniona.

Byłoby tak stali nie wiadomo jak długo, gdyby nie „profesor”, któremu obe były te sprawy, od dziecka niemalże zatopiony w księgach, w aulach mrocznych, pieszcząc foliary i marząc o łańcuchu, rozmawiał sam ze sobą uczucie. Toteż zakrzyknął gromko: cóż tak stoicie niemrawie, robicie, co macie robić!

Zasmiali się nieszczerze, choć szczerze żywoleń ich była: Ha, ha, ha...

Determinacja zabrudziła czoło „profesora”, a Anna wróciła z balkonu dziwnie spokojna i prawie promienna.

— On latał — zakrzyknął „profesor”. Milczeli odlegli i pograżeni w zadumie.

— On latał — jeszcze raz wrzasnął „profesor”, a nie czując reakcji, dodał rozpaczliwie: — na mnie z donosami w biały dzień.

I tu przelicył się poczyty mędrzec, choć dobrze chciał w rzeczy samej. Dobrzy ludzie odwrócili się od niego plecami.

— Jak w biały dzień — rzekł jeszcze któryś — to musiał coś wiedzieć. I odeszł godnie, nie chcąc widocznie się mieszać w te ciemne sprawy.

Tuż obok hoteliku podlewał kwiatki człek starszy a zacyjny i grabki leżały wśród grządek. — Coż, synu — zapytał — jak leci. Musiał to być ktoś znaczący, a nawet jeszcze znacniejszy, po postawie profesora wnioskując.

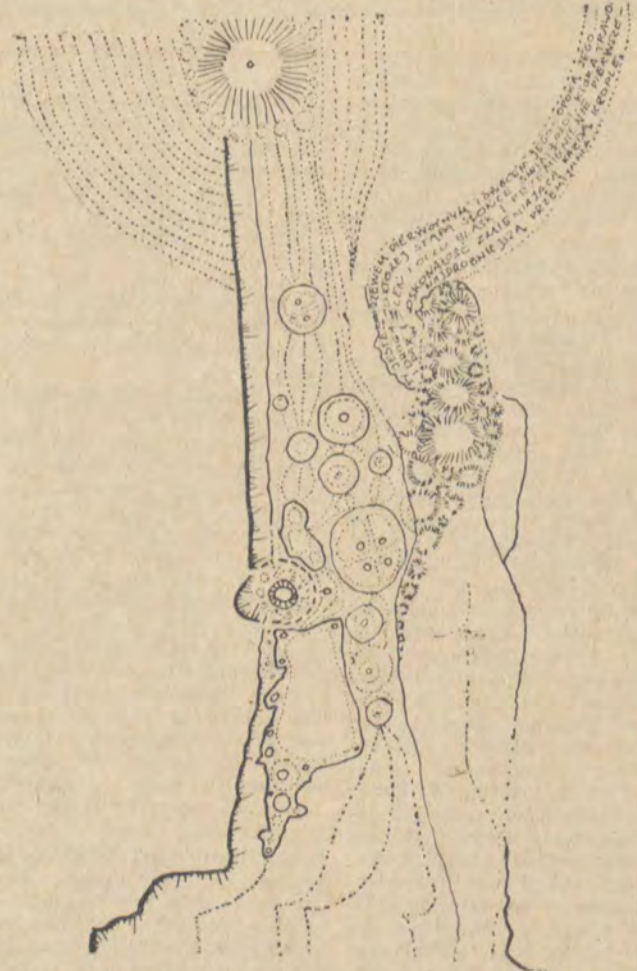
— A no praca, praca i jeszcze raz praca — „profesor” rzekł miękko i po raz wtóry nisko się skłonił.

— A ta dwururka, to po co — zapytał człek jeszcze znacniejszy. — Kłopoty się legną, a na ten przykład to i zgorzenie pod bokiem. I ja! „profesor” coś szepnąć Jeszcze znacniejszemu w ucho. I ja wytyczyłem swoje.

— To jakby cudowne rozmnożenie ryb — szeptał profesor. — Ale po co? Czyż nie lepiej tym jednym kęsem smakowitym nad wszelki wyraz radość uczynić sobie? Czyżby komuś potrzebne ponad potrzebę i przesyty? I te fanaberie nienaunkowe, te wloty i ileż kalek z tego corocznie? — Co mówiąc wyjął spod togi dwururkę, ciemne jej ślepią wlepił w moje oczy i mierzył.

Widziałem jak Anna bladła, coraz bardziej bladła, jej zwierzęca dostojność marmurowiała i taka nieludzko smutna patrzyła jak Jeszcze znacniejszy przycinał pęd.

Wrzesień 1970 r.



Rys. L. Woźnicki

KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI ŚWIADEK I UCZESTNIK

Nielatwo jest młodemu człowiekowi o przeszło połowę lat młodszeńmu, pisać o Kazimierzu Bleszyńskim — nestorze łódzkich pisarzy, filozofie, dramaturgu, krytyku, znakomitym autorze wspomnień, związanych z dziejami kraju i kultury polskiej. Jest on bowiem w naszym życiu literackim postacią niezwykłą ze względu na swą żywotność (ur. 1. V. 1881), a więc i ogrom doświadczeń oraz pamięć zdarzeń, jakie tylko nielicznym były dane, a także ze względu na skalę zainteresowań osobistych i studia filozoficzne na najlepszych uniwersytetach Europy, które przerosły się w zainteresowanie czynne; dość powiedzieć, że pierwszą pracą opublikowaną przez Bleszyńskiego był przekład rozprawy Labbeo „Cytologia doświadczeń” (1900 r.). W dziesięć lat później zadebiutował pracą oryginalną „Monizm a filozofia”, nie rezygnując z twórczości przekładowej. Był pierwszym Polakiem, tłumaczącym Bergsona, a przekładał także Ribota i Marksa.

Juz choćby z tego wprowadzenia widać, że o Bleszyńskim nie jest łatwo pisać, lecz jednocześnie jest to zadanie tym bardziej wdzięczne, że jego dorobek pisarski, a także poczynania społeczne złożyły się na naszą tradycję.

Żyjemy w okresie, gdy daje się zaobserwować renesans twórczości pamiętnikarskiej, ba niektórzy narzekają, że mamy już zalew pamiętników. Lecz pośród nich książka Kazimierza Bleszyńskiego „O mnie i nie o mnie” wyróżnia się w sposób szczególny. Istnieje specjalny powód, by z dorobku pisarskiego Kazimierza Bleszyńskiego wybrać przede wszystkim tę właśnie książkę. Tutaj bowiem znajdziemy źródła z jakich wywodzi się twórczość i działalność naszego znakomitego autora.

Autor pamiętnika słusznie i pięknie zarazem napisał o swych protoplastach zarówno tych po mieczu — Bleszyńskich, jak i po kądzieli — Sękowskich. Byli to bowiem ludzie niezwykli, pod różnymi, naukowcy, żołnierze, patrioci. By tego dowiedzieć autor odwołał się do dokumentów, a także wspomnień jakie zachowały się w rodzinie w czasach jego młodości. Siegają one czasów przedrozbiorowych, przechowała się w nich pamięć dawnej wolności kraju. Po-

śród protoplastów niepoślednie miejsce zajmuje także ojciec Kazimierza Bleszyńskiego — uczestnik powstania 1863 roku.

Fakty te dają nam obraz sytuacji rodzinnej autora, a zarazem objaśniają w jakiej atmosferze był on wychowany. Juz w okresie dzieciństwa, w rodzinnym domu zetknął się z duchem buntu, z dążeniami do odzyskania utraconej tak dawno niepodległości. Jednocześnie nie należy zapominać, że zaciążyło to także nad losem rodziny, która na skutek represji carskich, a także na skutek przemian ustrojowych — ubożeje i musi opuścić dworek. Kazimierz Bleszyński od najmłodszych lat musi iść przez życie o własnych siłach, sam walczyć nie tylko o byt, lecz także o odpo-



Kazimierz Bleszyński
Fot. D. Lomaczewska

wiednią dla syna szlacheckiego edukację. W ten sposób wchodzi w szeregi tej liberalnej części polskiej inteligencji, której ideały można było realizować tylko poprzez walkę o niepodległość i sprawiedliwość społeczną. A sytuacja była wówczas niewesoła. Poza uciskiem narodowościowym i społecznym caratu mieliśmy pozytywistów niechę-

nie odnoszących się do jakichkolwiek propozycji dokonywania zmian społecznych, czy politycznych. Oni bawili się rewolucją. Kazimierz Bleszyński staje po drugiej stronie barykady, wybiera walkę. Zaś wybrać walkę znaczyło dla niego oddać się jej całą duszą i ciałem. Myśli o walce — podporządkowane były jego późniejsze studia i działalność publicystyczna, wreszcie czynny udział w spiskach i walce rewolucyjnej z caratem. Kresu tej walki jeszcze wówczas nie przewidywano, doraznie zaś można było powęrować do więzienia, czy na zeszyk. Kazimierz Bleszyński nie uniknął pierwszego, zaś zamiast zeszyku musiał emigrować, wybrać tułaczkę.

Właśnie w czasie owej emigracyjnej tułaczki kontynuował on studia na rożnych uniwersytetach Europy, nawet w tak niekorzystnych warunkach materialnych, że mogłoby to wydawać się niemożliwe.

Kazimierz Bleszyński nie działał w izolacji, fluż to wspaniałych ludzi i gorących patriotów przewija się przez kartki jego pamiętnika, dotyczącego tamtego okresu! Zresztą nie sami wspaniali ludzie tworzyli ówczesne środowiska intelektualne rewolucyjnej młodzieży, znajdujemy pośród nich także ludzi małych, czy smiesznych, więc i oni przewijają się przez kartki tego pamiętnika.

W Polsce niepodległej Kazimierz Bleszyński był cenzorem filmowym, był też doradcą i recenzentem wydawnictwa „Rój”. Zajęcia te przysporzyły mu wiele nowych już doświadczeń, umożliwiły zetknięcie się z nowymi ludźmi. Tak więc pamiętnik we fragmentach dotyczących tego okresu pulsuje życiem, przekazuje wiele często nieznanych faktów, ukazuje ludzi znanych skąd inąd w nowym oświetleniu.

Gwoli zaspokojenia ciekawości czytelników, którzy pamiętnika nie znają, warto wspomnieć, że można w nim znaleźć wspominki, anegdoty, czy ciekawostki dotyczące ludzi znanych nam czy to z podręczników historii, czy historii kultury. Oto przykład: autor w swym pamiętniku wypowiada się w obronie niesłusznie pomówionego o współpracy z carską policją — Stanisława Brzozowskiego. Gdzie indziej znów dowiadujemy się, jak autor zainteresował marksizmem Władysława Reymonta, nieufnie odnoszącego się do idei socjalizmu. Przez kartki pamiętnika przewijają się także postaci, jak: Andrzej Strug, Xsawery Dunikowski, Stanisław Przybyszewski, Miriam, Patek, Sempolowska, Starzyński z braćmi, Wańkiewicz, Nałkowska. Znajdziemy tu także nazwiska z młodszej generacji, lecz nie mniej znane: Gojawiczyńska, Gombrowicza, Schulza. A i miejsca opisywanych wydarzeń są tu różna — Warszawa, Paryż, Bruksela oraz wiele innych miast i miejscowości.

Zaletą pamiętnika Kazimierza Bleszyńskiego jest jego zwartość. Autor wybierał tylko te wydarzenia, które

były istotnie potrzebne do ilustrowania sytuacji, czy rysowania postaci. Czasem wystarczyła mu zabawna anegdota, to znów otrzymujemy dłuższy opis, czy wręcz wykład, jak w przypadku przekazywania poglądów filozoficznych Franca Fiszera — legendarnej postaci artystycznej i intelektualnej Warszawy. Okazało się to ważne nie tylko ze względu na osobisty stosunek autora do Fiszera, lecz także dlatego, że stanowi to cenny przyczynek do dziejów naszej kultury tamtego okresu. Któż bowiem wiedział o poglądach filozoficznych Franca Fiszera, skoro przekazywano tylko jego anegdoty, czy anegdoty o nim? Jakże cenny jest list cytowany w pamiętniku, dotyczący sprawy Stanisława Brzozowskiego, kto wie czy dostępny gdzie indziej dla badaczy dziejów kultury polskiej tamtych lat?

Trzeba podkreślić raz jeszcze, że pamiętnik zachwyca swą wspaniałą, nie spotykaną u młodszych pisarzy — polszczyzną. Interesująca jest w nim refleksja historyczna, wywodząca się z doświadczeń życiowych autora, z nurtu, z którego wywodzi się niepodległość Rzeczypospolitej po I wojnie światowej. Choć może ktoś powiedzieć, że dziś wydaje się ona kontrowersyjna. Jej urok polega jednak na tym, że wcześniej nie była znana młodszemu pokoleniu.

Pamiętnik, o którym mowa, miał dwie edycje. Wydaje się, że był okrojony w poprzednich latach. Lecz dystans do opisywanych wydarzeń jest chyba dostateczny, by pozbyć się zastrzeżeń i powtórzyć edycję z odpowiednimi uzupełnieniami. Zwłaszcza, że i okazała po temu nie lada jaka, bo właśnie obchodzimy 60-lecie pracy twórczej Kazimierza Bleszyńskiego.

Mówiliśmy najwięcej o pamiętniku nie bez kozery, bo przypomina on losy autora, a także dlatego, że może jeszcze znajdzie się w księgarniach jakiś nie wykupiony egzemplarz. Lecz na dorobek Kazimierza Bleszyńskiego złożyły się, rzecz prosta, nie tylko pamiętniki, że wymienić choćby sztuki: „Badyle i paki”, czy „Szekspir i owoc” — ta ostatnia wydana przed kilku laty. Jeśli idzie o jego prace translatorskie, to należy przypomnieć koniecznie „Siddhartę” Hermana Hesse, wydaną z powołaniem przez „Rój” przed wojną. Dopelnienie dorobku twórczego Kazimierza Bleszyńskiego znajdziemy w rocznikach licznych czasopism zawierających jego prace filozoficzne, krytyczne, a także wiersze — niekiedy nawet frywolne, bo nasz Jubilat nie stronił nigdy od dobrego dowcipu.

W roku tego wspaniałego jubileuszu wypadnie nam nie tylko chylić głowy w podziękę za dorobek, jakim nas Kazimierz Bleszyński obdarzył, lecz także życzyć mu dobrego zdrowia i wielu, wielu szczęśliwych lat w tej stronie kraju, z którą wiąże Go zaena, rodowa tradycja.

POLONICA

NOWE POLSKIE
PRZEDSTAWIENIA
W PARYŻU

We wtorek 19 stycznia odbyła się w Paryżu premiera „Lata” Tadeusza Rittnera (granego pod tytułem „Koniec lata”) w przekładzie Jadwigi Kukulczanki i Jean Rocheforta, ze znakomitymi aktorami: Michel Auclair, Anne Carrere, Arlette Didier, André Falconem i Xavierem Gelinem. Tak więc od Paryża zaczyna się nowy światowy renesans sławy Rittnera, do 1938 roku stale grywanego w teatrach i radu wiedeńskim. (Dopiero Anschluss i antypolska polityka hitlerowców brutalnie tę tradycję przecięła). Obecna paryska premiera „Lata” odbędzie się w Théâtre Moderne. Reżyseruje Daniel Leveugle.

10 lutego zostanie zagrany w „Théâtre de l'Alliance Française” utwór młodego polskiego poety i reżysera, Jerzego Dobrzańskiego, „Zabawa w motylka”. Będzie to debiut powodny, gdyż inscenizator propremiery paryskiej, François Larose, występuje też po raz pierwszy. Grają jednak aktorzy dobrze znani: np. Luc Dechumeaux, pamiętny z filmów, czy François Olivier, Dobrzański jest absolwentem wydziału reżyserskiego Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Napisał kilka nowych poetyckich utworów w duchu szekspirowskim. Teatr „Alliance Française” nie szczędzi kosztów na inscenizację, o czym były wzmianki w „Le Figaro” i innych pismach francuskich. Wreszcie, Théâtre de la Comédie (w La Rochelle) zagral „Przyjaciela wesolego diabła” Kornela Makuszyńskiego, w przeobrażeniu Beba. Jest to utwór dla młodzieży, który się tak podoba młodej publiczności, iż będzie grany aż do lipca, jak i „Matka”. Witkiewicz, Wszystkie te premiery są zasługą utalentowanej młodej tłumaczki polskiej, Jadwigi Kukulczanki, która się niewątpliwie zasłużyła kulturze polskiej.

W. N.

POLONICA

Przeszłość i terażniejszość

Zastanawiam się dlaczego tak się składa, że brak niemal zupełnie w naszym współczesnym piśmiennictwie historycznym syntez, obejmujących całokształt dziejów Polski, takich, jakie niegdyś wychodziły spod pióra najwybitniejszych naszych historyków, pisanych przez jednego badacza, prezentujących zwarty i udokumentowany pogląd na polski proces dziejowy. Niegdyś napisanie własnej „Historii Polski” było największą ambicją polskiego historyka, a dziś? Prawda, że procesy specjalizacyjne, jakim uległa również i nauka historyczna wielce komplikują dziś podejmowanie wysiłków idących w tym kierunku i jest oczywiste, że napisanie nowych „Dziejów Polski w zarysie” byłoby dziś znacznie trudniejsze — już choćby tylko ze względów materiałowych — niż wtedy, kiedy pisał swą książkę Michał Bobrzyński. Ale czy dezinTEGRACJA wiedzy historycznej, dokonująca się na naszych oczach przy akompaniamencie głośniejszych integracyjnych, pogłębiająca się

wraz z intensyfikacją wewnątrz do jej przewycięzania — jest wystarczającym czynnikiem dla zrozumienia owej, coraz to wyraźniejszej ucieczki historyków naszych od siegania po syntezę historii ojczyznej. Jeden z przyjaciół, z którym rozmawiałem o tym, ma chyba rację gdy powiada, że syntez historyczne rodzą się zawyczaj w atmosferze spokoju zarówno w nauce historycznej, jak w życiu społecznym, że zjawisko, które filozofowie historii nazwali akceleracją procesu dziejowego, owo przyspieszenie dziejów jakiego świadkami są czasy współczesne, kiedy w rok dokonuje się więcej niż dawniej przez całe dziesięciolecia sprzyja zmienności także i w dziedzinie refleksji historycznej, u nas zaś szczególnie mamy tej zmienności wiele. Sporo w tym racji i tu być może należałoby szukać źródeł innego jeszcze zjawiska, jakie daje się obserwować we współczesnym piśmiennictwie historycznym, mianowicie — rozkwitu historycznej eseistyki. Historyk o ambicjach

syntetycznych i uzdolnieniach pisarskich, który niegdyś skreśliłby własną „Historię Polski”, dziś oddaje do rąk czytelnika tom eseistyczny. Jest to znamię naszych czasów...

„Rozmowy z przeszłością”, opatrzone pod tytułem „Dzieńsieć wieków Polski”, pióra Bogusława Leśniodorskiego (wydanie 2, Wiedza Powszechna, 1970) stanowią eseistyczne ujęcie

ROZMOWY Z PRZESZŁOŚCIĄ

całokształtu polskiego procesu dziejowego od czasów najdawniejszych po „prace i dni” Polski Ludowej. Stanowią ambitną — zarówno pod względem treści jak i wykintnej formy — próbę konfrontacji przeszłości z współczesnością, traktują — jak powiada autor — „o historii żywej, która jest obecna i w nas samych, która

współistniejąc z nowymi pierwiastkami określa umysłowości i postawy ludzi”. Są obroną historyzmu w współczesnym światopoglądzie humanisty, który pragnie współtworzyć nowe perspektywy i nie godzi się na jakże często wyznaczaną mu rolę akompaniatora procesu dziejowego. Historia — jest o tym przekonany nie tylko B. Leśniodorski — może nam pomóc w poznaniu

samych siebie wtedy, gdy „w toku swego rozwoju wdy że się z przyszłością. I w naszych czasach, jak w każdym okresie zwrotu ku nowemu, ludzie na całym świecie oczekują ideałów odzyskanych w przeszłości, a przynajmniej przez nią konfirmowanych. Poszukują też generalnych celów. U nas zaś, w warunkach two-

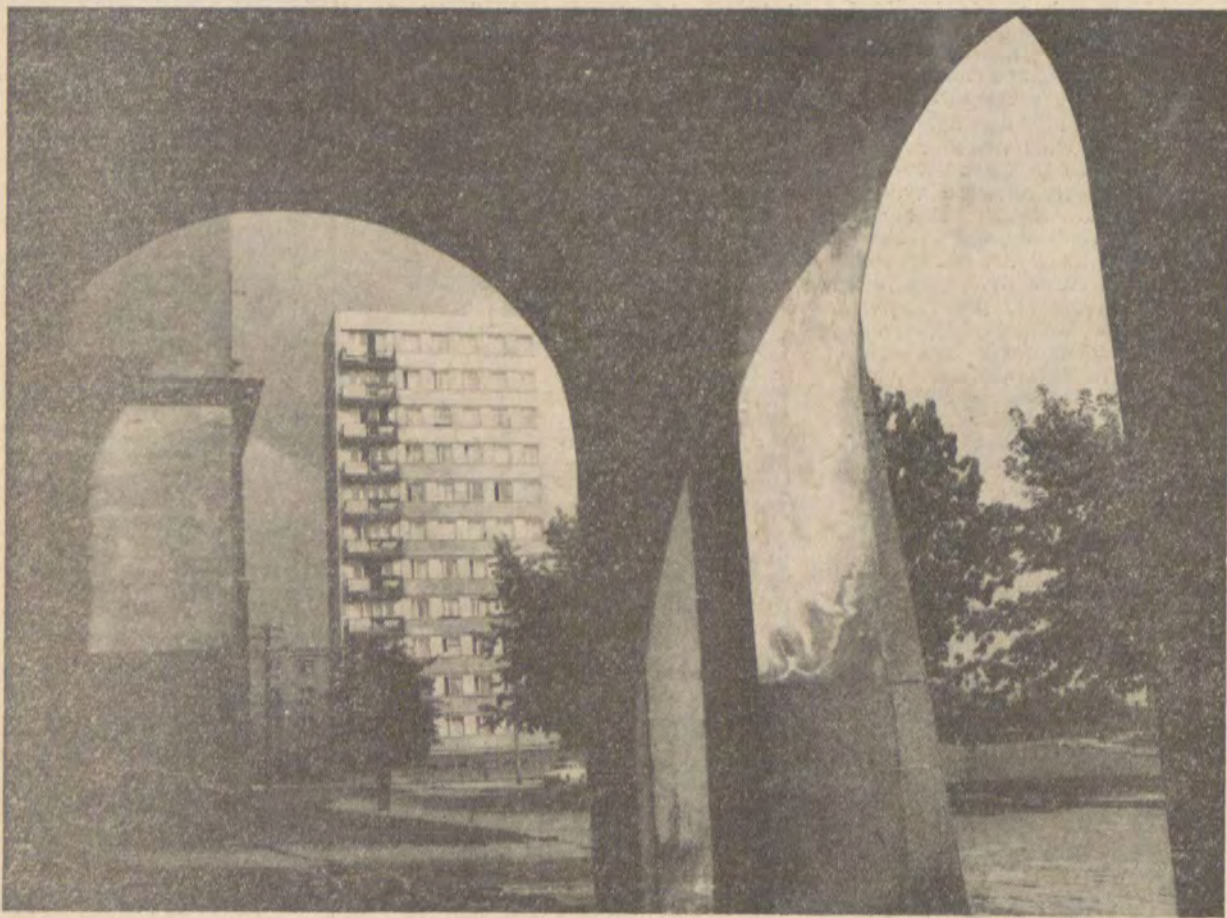
wienia ustroju socjalistycznego i właściwego mu światła myśli, rozpatruje się wciąż jego ujęcia zasadnicze i drogi przezeń wytyczone, zabiegając o to, by dostosować je do konkretnych warunków czasu i miejsca, zasobów i możliwości”.

Historyk nie akceptuje żadnej ze skrajnych postaw w stosunku do przeszłości, ani tej obciążonej tradycjonalizmem, ni owej, która opowiada się za koniecznością integralnego wyzwolenia się spod jej wpływów „traktowanych ze zniecierpliwieniem jako zbędne i krepujące”. Nie ukrywa, że sympatyzuje z postawą innych, tych u których „wraz z dodatnią oceną tradycji, które wskazują trwałe, nie przemijające wartości, a zatem wartości narodowe i powszechnego dziedzictwa, łączy się w owym poszukiwaniu głęboko historyczna metoda ustalania składników naszego życia, dających się mimo ich pogmatwania odkryć w otaczającej nas rzeczywistości”.

Pod osłoną zainteresowań historycznych — powiada B. Leśniodorski — „kryje się problem stosunku do współczesności, do perspektyw przyszłości, co wiąże się z osobliwym niepokojem

naszych czasów. Nie wymagamy i nie oczekujemy od historii i jej przedstawicieli ani kapitałstwa, ani kuglarstwa. W żaden rozsądny sposób nie można roznieść z innych epok ani gotowych wzorców czy to „bohater-skich”, czy „wielkiego” lub „małego realizmu”, jak kto woli, ani tym bardziej wizji świata już gotowych i zamkniętych przed tym, co nowe, by mogły one w pełni odpowiedzieć dzisiejszym czasom i współczesnym poszukiwaniom, a przede wszystkim pragnieniom. Bo też nie należy roli nauki i naukowego myślenia spro-wadzać do krzepienia serc brązem wydobytym z przeszłości, mającym świadczyć o tym, jak bardzo by-waliśmy znakomici, ani do argumentów, jakich szukają „antybrazownicy”, które miałyby uzasadnić poniewieranie własnym narodem przy snobistycznym zapatrzeniu w wzorce innych narodów”. Bowiem zadaniem nauk o przeszłości jest — jak podkreśla historyk — możliwie spokojnie i rzeczowe „przechodzenie z pomocą i radą ludziom współczesnym”. A to jest niezmiernie wiele.

JÓZEF GRZELAK



Fot. W. Parys

ANDRZEJ GRUN

LÓDŹ W OBIEKTYWACH

Zostało ostatecznie ustalone, że Łódź jest piękna, a co najmniej ładna, że ma zabytki, których nie ma gdzie indziej i że w ogóle zasługuje na baczniejszą uwagę jako miasto samo w sobie. Na efekty owych stwierdzeń nie trzeba było długo czekać. Posyłały się więc jak z rogu obfitości wystawy fotograficzne, których te matem jest nasze miasto.

Najpierw w Klubie Dziennikarza Eugeniusz Kudaj pokazał zestaw fotografii zatytułowany „Konfrontacje” — zdjęcia Łodzi sprzed wielu lat, z lat, gdy na obecnym Rondzie Titowa trwał regularny wypas bydła i zdjęcia Łodzi dnia dzisiejszego. Wystawa ta to nie tylko dokument przemian. To również dowód, że był człowiek z aparatem w ręku, który pilnie śledził życie swego miasta i w życiu tym brał czynny udział. Czy stanowił jakiś wyjątek? Nie sądzę. Bo w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki została następnie otwarta zbiorowa ekspozycja fotoreporterów prasowych: sześciu autorów — sześćdziesiąt prac! Tytuł wystawy: „Łódź w obiektywie fotoreportera”. Czy te 60 zdjęć zrobiono w sześć dni? Dalej, w Salonie Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego otwarto wystawę Zdzisława Waltera, absolwenta Łódzkiej Szkoły Filmowej, pt. „Łódzianie”. Wnioskując ze zdjęć, Z. Walter pracował nad nią parę lat. I jeszcze — w niedługim czasie zostanie udostępniona publiczności druga indywidualna wystawa Eugeniusza Kudaj pt. „Secesja łódz-

ka” — bogaty wybór architektury zabytkowej i zabytkowego detalu architektonicznego.

Są więc ludzie, którzy na fotograficznej błonie skrzętnie notują kronikę Łodzi. A to, że przedtem nie ujawniali, albo ujawniali sporadycznie — od przypadku do przypadku — swoje prace szerszej publiczności wynikało przede wszystkim z powszechnie panującej opinii, że, w Łodzi nie ma co fotografować, że to, co jest — jest wręcz nieciekawe. Niewarte trudu fotografa i facyli odbiorcy. To nie prześmieszki z mojej strony, proszę sobie laskawie przypomnieć. Niemniej czas płynie, opinie się zmieniają. Dziś w Łodzi reliktyw przeszłości co niemiara, niemal po łowia miasta jest zabytkowa, a druga połowa — to piękna, nowoczesna architektura!

Faktem natomiast jest, że klimat, jaki został stworzony dzięki wysiłkom ludzi dobrej woli (a wśród nich niemałą rolę odegrali społeczni opiekunowie zabytków), sprzyja wszystkim zainteresowaniom i inicjatywom, dotyczącym miasta w większym stopniu niż miało to dotychczas miejsce.

Żeby jednak pokazać miasto na sze takim, jakim jest ono istotnie, potrzebna jest, oczywiście, odpowiednia informacja i dokumentacja. Takiej informacji udzielić mogą przede wszystkim właśnie fotograficy. Dlatego też zwracam uwagę na wystawy zdjęć opisujących Łódź. I to uwagę nie tylko czytelników, którzy, jak sądzę, o-

berzą je z przyjemnością, ale i instytucji wydawniczych. Bo, nie wiem, czy zostało to zauważone, nie ma albumowych wydawnictw o Łodzi. Album Wacława Bilińskiego jest już tylko wspomnieniem. Mały albumik o Łodzi, który się przed paru laty ukazał, też jest przeszłością. „Ulica Piotrkowska” Wacława Kondka tej dziury nie załata. Fotograficy po kazali, że posiadają gotowy materiał do takowych wydawnictw — tylko brać.

„Łódź w obiektywie fotoreportera” jest wystawą ze wszech miar interesującą. Została zorganizowana wysiłkiem Łódzkiego Klubu Fotografii Prasowej i Łódzkiego Ośrodka Turystyki i Wypoczynku. Udział w niej biorą: W. Parys, E. Kudaj, A. Wach, G. Puciato, J. Glowacki, W. Pietrzyk. Przedstawiać ich nie trzeba, są to nazwiska dobrze znane czytelnikom łódzkiej prasy. Sama ekspozycja jest tym bardziej interesująca, że pokazuje tylko Łódź nową, Łódź dnia dzisiejszego.

Zdzisława Waltera z kolei interesują mieszkańcy miasta. Jacy są, czym się zajmują, jakie są ich codzienne problemy, jak pracują, odpoczywają, jak się bawią. Oglądamy bogaty, nasycony kalejdoskop. Kalejdoskop pełen życia i treści. I dobrze się stało, że wstawa Waltera dzieje się równoległe z wystawą w Klubie Książki i Prasy, bo miasto to i architektura, nowe domy i osiedla, wjeżdża i człowiek, który je buduje i który w nich żyje.

WYNAŁAZEK

Dalszy ciąg ze str. 5

wszystko prawidłowo zaksięgowano, i nikt nie mógł mu zarzucić, że brał pieniądze bez pokwitowania, albo nielegalnie. Toteż kolejne kontrole ze Zjednoczenia, a było ich w ciągu lat 1966 — 68 przynajmniej osiem, niczego nie wykazały. O jednej z nich, przeprowadzonej w 1967 roku czytamy: „Dokonał jej rewident R. w sposób bardzo splotony i mało wnikliwy. Ze stwierdzeń rewidenta nie wynikało, aby we współpracy między Spółdzielnią Rzemieślniczą a Przedsiębiorstwem Transportowym występowały nieprawidłowości. Rewident R. został zwolniony z pracy w Zjednoczeniu ze skutkiem natychmiastowym, za przyjęcie łapówki w LZG”.

Wprawdzie coś tam musiano w końcu zauważyć, bo w notatkach głównego księgowego Zjednoczenia był zapis, że widzi pewne nieprawidłowości w rozliczeniach, ale żadnych kroków nie poczyniono. Wprawdzie to samo Zjednoczenie wydało Modremu polecenie, aby produkcję dźwigów przejęło od Spółdzielni przedsiębiorstwo uspołecznione, ale polecenie nie zostało wykonane. Wprawdzie listy plac powinny być sprawdzane w każdym przedsiębiorstwie przez kilka osób — merytorycznie, formalnie, rachunkowo, kadrowo, a dopiero potem podpisywane przez dyrektora, ale kierownik

komórki płacy i pracy Przedsiębiorstwa Transportowego o niczym nie wiedział bo listy były u księgowego Rojka w biurku.

To wszystko, jak również fakt, że Zjednoczenie wypłacając wynagrodzenie autor-skie Modremu i jego współpracownikom, opierało się na niedokładnych i niezgodnych z obowiązującymi zasadami obliczeniach, ustalonych przez trójkę zainteresowanych, wyszło na jaw dopiero podczas kontroli z Ministerstwa, przeprowadzonej w pierwszych miesiącach 1969 roku. Kontrola ta ujawniła wreszcie podwójną osobowość Franciszka Modrego, który przywłaszczył sobie państwowe pieniądze. Gdyby nie był dyrektorem, nie byłoby ku temu możliwości, a gdyby nie kupił Fiata 125-P może i nikt nie zwróciłby uwagi na jego machinacje.

* * *

Kariera urzędów dźwigowych, o których licencje ubiegała się także Czechosłowacja — nie wiem czemu do transakcji nie doszło — skończyła się. Przedsiębiorstwo Transportowe nie jest w tej chwili zainteresowane produkcją dźwigów. Spółdzielnia wykonała w grudniu 1970 roku zaledwie cztery sztuki. Nie ma kto dopilnować, aby wynalazek się nie zmarnował. Autor przebywa w więzieniu.

BOGDA MADEJ



REDAKTORZE!

W numerze „Odgłosów” z 25 stycznia 1971 r. prof. Kaszyński poruszając sprawę nadania Teatrowi Powszechnemu w Łodzi nazwy: Teatr Im. Adwentowicza, wysuwa zastrzeżenia, motywując je tym, że Adwentowicz prowadząc Teatr Powszechny w r. 1945, nie zapisał się jako jego dyrektor zbyt chlubnie. Stanowisko to wydaje mi się nie do przyjęcia. Bo przecież okres łódzki po drugiej wojnie światowej był raczej ukoronowaniem wspaniałego żywota, wspieraniem działalności artystycznej i społecznej wielkiego artysty.

Mówiąc i myśląc o Adwentowiczu nie wolno zapominać, że

człowiek ten przez całe życie był szermierzem walki o postępowość, sprawiedliwość, niepodległość swego narodu. Przed pierwszą wojną światową należał do Lwowa do PPS, w roku 1914 wstąpił do Legionów, w okresie międzywojennym, w latach trzydziestych, jako dyrektor teatru w Łodzi, przeciwstawiał się odważnie i bezkompromisowo narastającej fall rodzimego faszyzmu. To on, mimo protestów i awantur utrzymał w Łodzi na afiszu „Cjankali” Wolfa, sztukę domagającą się regulacji urodzeń, to on dał publiczności polskiej możliwość oglądania takich sztuk, jak: „Spór o sierżanta Griszę” Zweiga, „Przestępca” Brucknera, „Sprawa Dreifussa” Rehfischera i wiele, wiele innych.

Nie umiał płynąć z prądem, stać na baczność przed ciemnotą i kointernacją, miał w sobie to, co dziś takie rzadkie: odwagę cywilną, poczucie, że dyrektor teatru, to nie tylko wykonawca jakichś wskazówek i zaleceń.

Należy się Adwentowiczowi, by jego zasługi uczczone zostały sceną jego imienia.

Jacek Fruehling

DZIEŃ „D”

250 LAT TEMU W WIELKIEJ BRYTANII WPROWADZONO W OBIEG BANKNOTY PAPIEROWE. BYŁO TO WÓWCZAS PRZEDSIĘWZIĘCIE POWAŻNE I W PEWNYM STOPNIU RYZYKOWNE. ALE PATRZĄC TERAZ, Z PERSPEKTYWY DWU I PÓŁ WIEKU NA TĘ FINANSOWĄ REWOLUCJĘ, WYDAJE SIĘ ONA DZIECIENNIE PROSTA.

W poniedziałek, 15 lutego 1971 roku, Wielka Brytania przeżyje największą zmianę systemu monetarnego od momentu wprowadzenia banknotów papierowych. W tym bowiem dniu wprowadzony zostanie monetarny system dziesiętny. Gdy przed czterema laty angielski kanclerz skarbu na forum Izby Gmin wystąpił z rządowym projektem

zmiany systemu, stwierdził m.in., że parlament Wielkiej Brytanii już od 150 lat debatuje na ten temat. I właśnie cztery lata temu na jednym z posiedzeń zatwierdzony został projekt zmiany systemu monetarnego. Na dzień „rewolucji”, a ekonomicznym językiem mówiąc decymalizacji, wybrano wtedy 15 lutego 1971 roku.

Krok ten podjęto późno. W uprzemysłowionej Wielkiej Brytanii wynikały z tego powodu wielorakie problemy dla rządu, przemysłu i społeczeństwa. Decyzja ta, na pierwszy rzut oka ekonomiczna, kryje w sobie jednak podtekst polityczny, ma bowiem na celu zbliżenie Wyspy do Kontynentu, a konkretnie do Wspólnego Rynku.

Nowy system oczywiście znacznie ułatwi angielskim biznesmenom prowadzenie transakcji finansowych. Na całym świecie bowiem przeszło 30 proc. międzynarodowych transakcji opartych jest o system funta, a stolica Anglii jest nie jako również stolicą ubezpieczeniowo-asekuracyjną, opartą oczywiście na funcie. Następuje tu jeszcze cały szereg rozliczeń międzynarodowych, opartych o ten zawily i niezrozumiały w reszcie świata system.

Główne jednak trudności po-

woduje fakt, że nowy system nie jest całkowicie ekwiwalentny wobec używanego dzisiaj, w którym, jak wiemy, istnieją funty — £, szylingi — S i pensy — d. Obecnie funt liczy 240 pensów, a szyling 12 pensów. Z kolei 20 szylingów składa się na funt. Nowa waluta zawierać będzie 100 pensów w funcie, a szyling zniknął.

Ponieważ po zmianie najmniejsza jednostka nowej waluty byłaby prawie dwa i pół raza większa od starej, co spowodowałoby konieczność znacznych zmian w cenach, wprowadzono monetę półpensową jako jednostkę o najmniejszej wartości. Funty szterlingi pozostanie nie zmieniony w nowej walucie, ale pojawi się sześć nowych monet o mniejszej wartości. Ludzie, którzy od wielu lat używają szylingów i pensów i dzielą funta przez 20 i 12 nagle będą musieli dzielić przez 100.

Na bicie nowych monet rząd wydał już blisko 23 miliony funtów. W Dniu Decymalizacji, nazwanym w Anglii krótko „Dniem D” (D-Day) potrzebnych będzie 5 miliardów nowych monet. Banki wycofały już 7,8 miliona starych monet i 200 milionów banknotów 10-szylingowych. Mennicę już dawno przeniesiono z Londynu do nowoczesnej fabryki w Lleantristant w Południowej Walii, aby mogła sprostać zadaniom.

Ale zadanie postawione mienicy to tylko fragment całego dzieła. Zmiana systemu dotknięta zostanie prawie każda dziedzina działalności publicznej. Trzeba będzie wymienić lub przerobić około 2,5 miliona maszyn arytmetycznych oraz prawie taką samą ilość automatów telefonicznych, automatów do sprzedaży artykułów żywnościowych, papierosów, słodyczy, gorących i zimnych napojów, samoobsługowych

wych maszyn do czyszczenia i prania na sucho, automatów do opłat za parkowanie samochodów, liczników do gazu i elektryczności, automatów do frankowania listów oraz prasy sylek itd., itp.

Rząd powołał Urząd do spraw Systemu Dziesiętnego, który ma ułatwić wymianę i przygotować do niej kraj. W 1968 roku skoncentrowano się przede wszystkim na organizacji handlu i przemysłu. Nato miast w roku 1969 położono szczególny nacisk na handel detaliczny i zaopatrzenie. Energetyczna kampania skierowana do ogółu społeczeństwa angielskiego rozpoczęła się w 1970 r., teraz bowiem wszyscy są już w pewnym stopniu przygotowani do zmian.

Nie wszystkie jednak decyzje związane z decymalizacją są uzgadniane z Urzędem do spraw Systemu Dziesiętnego. Przemysł działa na własną rękę. Jedną ze znanych firm an-

BIBLIOTEKARZ

BYŁ PIERWSZYM ZAWODOWYM BIBLIOTEKARZEM W ŁODZI, PIERWSZYM AUTOREM, KTÓRY PODJĄŁ TEMAT: „BIBLIOTEKI I CZYTELNICTWO W ŁODZI, ROZWÓJ I STAN WSPÓŁCZESNY”. ZAMIERZCHŁE TO CZASY DLA WIĘKSZOŚCI OBYWATELI POLSKI LUDOWEJ OWE LATA 1917-1919, NA KTÓRE PRZYPADA TYŁE DECYDUJĄCYCH DLA ŻYCIA JANA AUGUSTYNIAKA WYDARZEN.

Pochodził z rodziny robotniczej, osiadłej na Władzynie. Tam też chodził do szkoły początkowej, pracował do 19-go roku życia jako robotnik, a następnie urzędnik fabryczny i przez całą tę „władzyską młodość” z uporem się uczył. Początkowo sam, korzystając ze społecznych placówek bibliotecznych, potem na kursach i w szkołach wieczorowych. W ten sposób ukończył Szkołę Handlową i Kursy Pedagogiczne dające świadectwo nauczyciela ludowego. Kiedy zdecydował się na „życie z książką”, do której miał głębokie zamiłowanie, nie posiadał przygotowania w tym kierunku poza, jak sam mówił, amatorskimi próbami organizowania czytelni w jednej z placówek Tow. Krzewienia Oświaty i na Kursach Pedagogicznych. Nie było w tych czasach ani szkół, ani podręczników dla bibliotekarzy. Zresztą ówczesne biblioteki łódzkich organizacji i stowarzyszeń z reguły były obsługiwane społecznie.

W tych okolicznościach sześciotygodniowa praktyka pod opieką wybitnego kierownika Biblioteki Publicznej w Warszawie, Faustyna Czerwijowskiego stanowiła dla Jana Augustyniaka istne „studia bibliotekarskie”.

Wzory i doświadczenia wyniesione z praktyki, udział w Komisji Kulturalno-Oświatowej powołanej przez Magistrat pod przewodnictwem dr Stefana Kop-

cińskiego, dyskusje w Kole ZBP zachęciły zdolnego i pełnego zapału bibliotekarza do planowania prac bibliotecznych w sposób coraz nowocześniejszy. W r. 1921 występuje jako główny autor koncepcji trójstopniowej „wzorowej sieci bibliotek opartych na podstawie umiastowienia” i włącza się z energią i pomyslowością w zabieg o przejęcie przez miasto Biblioteki Publicznej jako centralnej biblioteki naukowej, co następuje w r. 1922.

Nie zamierzam omawiać poszczególnych etapów zawodowej działalności prof. Augustyniaka, choć jednak podkreślić, iż charakteryzując jej okres przedwojenny trzeba używać często określenia „pierwszy”. Pierwsza w kraju sieć bibliotek miejskich, pierwsza w Polsce biblioteka dziecięca, pierwsze koło terenowe ZPB, jedno z pierwszych: samorządnych czytelni i Kola Przyjaciół Bibliotek, Poradnia dla czytelniów-samouków, pierwsze kursy bibliotekarskie w Łodzi. Chyba także unikalny wówczas załącznik do programu konkursu na gmach biblioteki — postulat użytkownika-bibliotekarza. A przy tym jedno z najambitniej opracowanych wskaźników kompletowania księgozbiorów filii wielkomiejskich, świadomie formowany zbiór regionalny, wczesne instrukcje pracy pedagogicznej z czytelniem itd.

Z tych ongiś pionierskich poczynań, które już od dawna przybrały kształt życia można było szeroko czerpać, gdy po latach okupacji przyszło pierwszemu bibliotekarzowi łódzkiemu reaktywować Bibliotekę Publiczną, (które 70 proc. zbiorów ocalało) i Kolo ZBP oraz na nowo organizować całkowicie zniszczoną sieć biblioteczną.

Wrócił do Biblioteki w Krakowa, gdzie pracował jako instruktor i księgowy „Spółem”.

Po prowadzonych w warunkach półlegalnych lub konspiracyjnych wykładach o pracy oświatowej z książką znowu zaczyna uczyć zawodu na licznych kursach bibliotekarskich łódzkiego ZBP, Kuratorium, różnych wojewódzkich i centralnych, na zajęciach studentów Katedry Bibliotekoznawstwa UŁ, gdzie był przez dwa lata starszym asystentem.

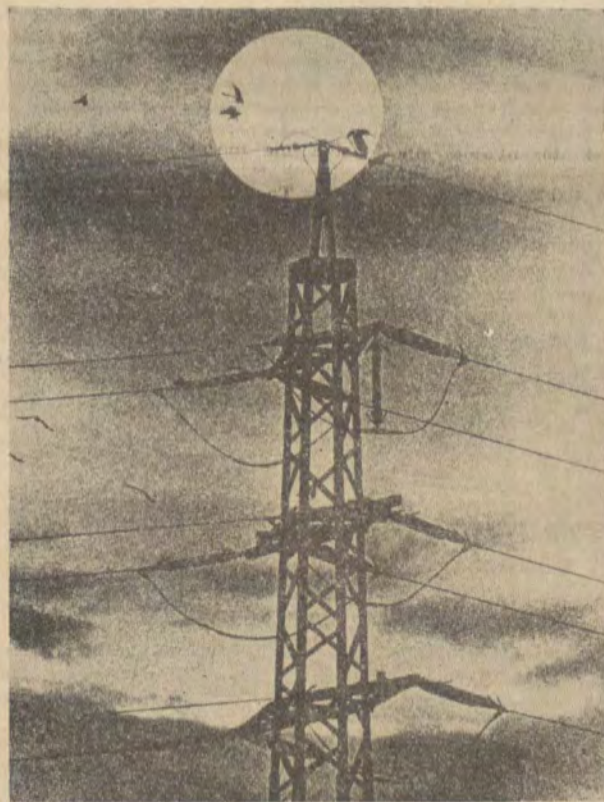
Od bibliotekarzy wymagał zawsze stałego uzupełniania wiedzy i czynnego dokształcania się. Sam zresztą najlepszym służył przykładem. Ukończył Wyższą Szkołę Nauk Społ.-Ekonom. i Wolną Wszechnicę Polską, około 60-go roku życia uzyskał stopień mgr prawa na UŁ. Do późnego wieku brał czynny udział we wszystkich fachowych konferencjach, dyskusjach i semina-

riach bez względu na trudy dalekich nieraz podróży. Stojąc na czele dużej księżnicy naukowej, już jako dyrektor Biblioteki im. L. Waryńskiego z tytułem prof. nadzwyczajnego obdarzał ciągle żywym i nie gasnącym zainteresowaniem małe biblioteki publiczne. Wyszedłszy z klasy robotniczej wierząc w jej rozum i odwagę widział zawsze drogę, jaką wiedzie najzdolniejszych robotników od małej placówki bibliotecznej do biblioteki naukowej.

Danym Mu było niejednokrotnie przeżywać radość urzeczywistnienia tego marzenia oświatowca i społecznika. Z troski o czytelnika robotniczego wynikało Jego poparcie dla wszystkich poczynających analityczno-badawczych, mających na względzie rozpoznanie potrzeb i zamierzeń owego środowiska. Te pozycje spośród Jego stu prac i artykułów, które poświęcone były czytelnikom, uwzględniały przede wszystkim tę grupę czytelniczą, np. „Czytelnictwo a zawody” (1935 r.), „Biblioteki robotnicze TUR w Łodzi” (1928 r.), „Życie prywatne i kulturalne robotnika łódzkiego” (1936 r.), „Czytelnik łódzki”, „Trzy obrazy” (1938 r.), „Czytelniczy przedwojenni i dzisiejsi” (1946 r.).

Dla wielu spośród bibliotekarzy stanowił przede wszystkim wzór działacza Stow. Bibliotekarzy Polskich — organizacji bliskiej im i współczesnej. Młodszemu pokoleniu trudno zresztą było objąć te rozległe obszary czasowe, na przestrzeni których miały miejsce rozliczne działania społeczne Profesora w Tow. Krzewienia Oświaty, „Naprzódzie”, TURze, Patronacie nad więziami, uniwersytetach ludowych, Towarzystwie Bibliofilów. Tylko starsze pokolenie wiedziało jak ważki okres w historii bibliotek publicznych Łodzi zamyka się wraz z odejściem na emeryturę prof. Augustyniaka który zostawił sieć liczącą 51 bibliotek, z księgozbiorem ponad 530 tys. vol., funkcjonalny gmach biblioteczny i rozpoczętą dokumentację jego rozbudowy.

Dla wielu najdawniejszych czytelniów był bezpośrednim doradcą ich lektur i przewodnikiem na drodze ich samokształcenia. Kilka pokoleń czytelniów znało Go z „dyrektorskich obchodów” kiedy dwukrotnie w ciągu dnia przemierzał korytarze, czytelnie, po koje katalogowe, patrząc wokół bacznie, po gospodarstwu, a niekiedy jakby surowo. Czytelniczy Biblioteki im. L. Waryńskiego z ostatnich siedmiu lat nie orientowali się przeważnie, kim był starszy pan, który raz w tygodniu, oddawszy w szatni piasek i nieodstępną łaskę zasiadał wśród nich w czytelni i pochylał się nad stołem czasopism.



» POLONICA «

PENDERECKI W SALZBURGU

„Pasja wg św. Łukasza” należy do najczęściej wykonywanych w świecie dzieł K. Pendereckiego. W czasie tegorocznego festiwalu w Salzburgu wykonała ją orkiestra Radia i Telewizji Austriackiej pod dyr. Milana Horvata, chórzyciele z Wiednia oraz soliści z Polski: Stefan Woytowicz, Andrzej Hiołski, Bernard Ładysz. Jedną z partii solowych śpiewał Hans Christian.

(er)

O POWIEŚCI TERLECKIEGO

„Le Monde” omówił, z okazji premiery „Matki” w Paryżu i opublikowa-

nia „Nienasyceńia” po francusku, także i powieść Władysława Terleckiego „Gwiazda Polon”, wydaną w 1968 roku przez PIW. Francuski dziennik stwierdza, że samobójstwo Witkacego wywołane hitlerowskim najazdem na Polskę natchnęło urodzonego w 1933 roku polskiego pisarza.

W. N.

„NIENASYCENIE” PO FRANCUSKU

Nakładem lozańskiego wydawnictwa „L'Age d'homme” ukazała się ogromna, ponad 520 stron licząca, powieść Stanisława Ignacego Witkiewicza „Nienasyceńie” („L'Inassonvissement”) w przekładzie i z przedmową Alain Crugena. Temu wydarzeniu poświęca literacki dodatek do jednego z numerów „Le Monde” całą kolumnę na pierwszej stronie, przypominając biografię Witkacego oraz umieszczając go w „wielkiej

trójce” genialnych polskich pisarzy, wespół z Schulzem i Gombrowiczem.

PIERWSZE RECENZJE O PARYSKIM WITKACYM

W prasie paryskiej ukazują się pierwsze recenzje na temat „Matki” Witkiewicza, wystawionej w spektaklu Jadwigi Kuliczkanki w paryskim teatrze „Recamier”. B. Polrot Delpech omawia w „Le Monde” dokonaną specjalnie w tym celu przebudowę teatralnego gmachu oraz charakterystykę aktorów, którzy sobie nadają cechy półludzi, pół-widziadła. Reżyser Claude Regy, wykazał pokrewieństwa dramaturgii Witkiewicza z koncepcjami Artauda, nie zrealizowanymi na francuskiej scenie; okazało się też, jak bardzo ów teatr przedziera Ionesco i innych. Recenzent zestawia przy tym Witkiewicza z genialnymi pisarzami słowiańskimi i „skandynewskimi”: Dostojewskim, Cze-

chowem, Strindbergiem, Ibsenem. Wydobywa też Polrot Delpech typowe polskie, jego zdaniem, cechy ironii Witkacego. Aktorzy teatru „Recamier” przelamywali typowe francuskie tradycje i reguły gry teatralnej, np. Juliette Brac, tworząca „niezbędny efekt” zapanowanej niespodzianki”, jako „upojnie nieprzyzwolona narzeczona”. Madeleine Renaud podnosi stany swej postaci aż do kompletnej szaleństwa, Michel Lonsdale wspaniale wykorzystuje właściwości swej twarzy, staje się mieszaniną proroka i zwierzęcia. „Każdy znałwa teatru i każdy jego miłośnik powinien przejść przez ów czyściec” — kończy recenzent „Le Monde”.

W. N.

MADELEINE RENAUD O „MATCE”

Claude Cezan umieścił w paryskich „Les Nouvelles Littéraires” interesujący wywiad z Madeleine Renaud, wykonawczynią tytułu

w jej roli w „Matce” Witkiewicza, wystawionej w Théâtre Recamier. Wielka artystka stwierdziła, że utwór „wyprzedza swój czas, jest nowoczesny i poetyczny. Czuję się, jaką istotą był Witkiewicz”. „Była to dla nas praca ogromna, gdyż dzieło jest niesłychane. „Wybuch” na wszelkie strony, w wielkiej różnorodności tonów i stylów”. Na pytanie Cezana, co jej ta sztuka przypomina, Madeleine zawałowała: „Niel w każdym razie jest przeciwieństwem L'Aman te anglaise” i „Pięknych dni”. Ale ja właśnie uwielbiam nowość”. Samą postać określa francuska aktorka jako „istotę groteskową, burleskową, twardą i oczywiście namiętną. Te matem jest tu miłość mać...ńska, która dochodzi aż do kompleksu. Wie o tym, mówi to i ostatecznie ją to zabija. Ale nie jest to dramat — tylko farsa tragiczna. Nie przypomina Jarry'ego lecz Goyę i... Boscha”. W.N.

gielskich, produkujących arytmometri, wysłała swoich przedstawicieli do 190 towarzystw i izb handlowych dla przeprowadzenia sondażu. Najbardziej zainteresowane w szybkim przedstawieniu produkcji są fabryki maszyn handlowych, które usiłują wysunąć się przed konkurentów. System dziesiętny stwarza im perspektywę bardzo opłacalnej produkcji, ale chcą one rozwinąć ją sensownie. Jednak kłopot tkwi w tym, że wprowadzenie nowego systemu mo-

netarnego powoduje koszty, którymi obciążone są w większej części przypadków przedsiębiorstwa. Zanim zdecydowano się wprowadzić nowy system, debatowano nad tym problemem w parlamencie i dyskutowano publicznie. Ale niektórzy z mniej zainteresowanych nie mają wcale ochoty ponieść dość znacznych kosztów, argumentując to tym, że decymali-

zacja w Australii i Nowej Zelandii nie pociągnęła za sobą kosztów własnych przedsiębiorstw, bo rządy tych krajów udzieliły im pomocy finansowej. Natomiast rząd brytyjski poszedł na kompromis i ustalono, że w wielu przypadkach koszty te zostaną pokryte całkowicie lub częściowo poprzez obniżenie podatków. Wzięto również pod uwagę to, że przedsiębiorstwa będą starały się maksymalnie zmniejszyć koszty własne, jeżeli już zmuszone zostaną do przeprowadzenia adaptacji na swoją rękę. Zresztą bardzo wiele przedsiębiorstw i tak wymienia co pewien czas maszyny, a koszty tych zmian są stałą pozycją w ich budżecie.

Nikt w Anglii nie wątpi w to, że wszystkie większe przedsiębiorstwa będą gotowe na czas, uwagę koncentrując się więc na mniejszych przedsiębiorstwach, które zachęca-

ją do przypieszenia przygotowań. I tu wyłania się ogromny problem przed małymi sklepami detalicznymi, o których egzystencji decydować będzie sprawa ustalenia cen według wagi towaru. Właściciele drobnych sklepików do skonała orientują się, że sprzedanie za jeden nowy pens cze goś, co kosztowało trzy stare pensy, będzie dla nich oznaczało stratę przeszło 20-procentową. Natomiast sprzedaż tego samego towaru za półtora nowego pensa oznaczałaby taką samą stratę dla klienta. Rozwiązaniem tego problemu może być sprzedaż dwóch takich samych przedmiotów za 2,5 nowych pensów, gdyż stanowi to dokładne przeliczenie. Ale oczywiście nie wszystkie ceny dadzą się tak uregulować. Dla tego też Urząd do spraw Systemu Dziesiętnego (Decimal Currency Board) wydał dla sklepów specjalne tabele przyliczeniowe, z których wynika,

że bilans „zaokrąglania cen” winien dać przeciętnie tyle obniżek co podwyżek. Wykorzystano doświadczenia z Australii i Nowej Zelandii, gdzie wprowadzenie systemu dziesiętnego nie spowodowało większych różnic w kosztach utrzymania. W Wielkiej Brytanii społeczeństwo będzie miało po swej stronie potężny zastęp strażników praworządności. Zarówno Urząd Cen i Dochodów jak i Rada Spożywców (wspierana przez angielski rząd organizacją do ochrony kupujących) będą kontrolować sposób przyliczania cen. Klienci i tak zawsze poszukują sklepów z najniższymi cenami, a wśród kupców-detalistów istnieje już od dawna przekonanie, że „tylko głupiec podniósłby ceny” w chwili, gdy walka o klienta jest tak silna.

W roku ubiegłym odbyły się w Londynie Międzynarodowe Targi Żywności i Napo-

jów. Z tej okazji otwarto „supermarket” sprzedający blisko tysiąc różnych towarów, i przeprowadzono w nim eksperyment dla stwierdzenia jak kupujący zareagują na nową walutę. Ludzie mogli tu wymienić pieniądze na monety systemu dziesiętnego.

Klienci, którzy zdecydowali się na kupno w owym supermarkecie, robili to przeważnie z ciekawości. Nie byli przecież przyzwyczajeni do nowych monet i postępowali tak, jakby mieli do czynienia z walutą „zagraniczną”. Czas zużyty na przeliczenie nowych wartości, odliczenie należnej sumy, skasowanie jej w kasie i wypłacenie należnej reszty — był o 80-90 procent dłuższy, niż przy zakupie tego samego towaru za szylingi. Zaobserwowano także, że z wielu śmiałków, nie doceniających problemu decymalizacji tylko co trzech (prze-

ciennie) wyszedł z supermarketu nie straciwszy kilku, czy nawet kilkunastu pensów.

Zmiana systemu monetarnego w Anglii nie tylko ułatwi Wyspie kontakt z resztą świata, przybliży Wielką Brytanię do EWG, ale także — z czego cieszą się najbardziej turyści — ułatwi życie cudzoziemcom, dla których stary system Łęd był prawdziwym utrapieniem.

A potem, do 1975 roku, czeka Brytyjczyków przejście na dziesiętny system miar i wag. W porównaniu z tym przejściem na dziesiętny system monetarny jest naprawdę fraszka!

Opracował na podstawie artykułu z „British Industry Week” — M. A. JAKUBOWSKI

NIEZNANY LITERAT-POWSTANIEC

W powieści pajęcząskim jest starożytna osada ze średniowiecznym zamczkiem. SIEMKOWICE. Podczas moich wakacyjnych wędrówek, w tamtejszym kościele z XVIII w., na jednej ze ścian, napotkałem wmurowane epitafium z lakonicznym napisem: „Ludwik Niemojewski, dziedzic Radoszewic, literat, zmarł w Warszawie. Po powrocie do Łodzi wszcząłem poszukiwania w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej. W Wielkiej Ency-

klopedii Ilustrowanej znalazłem krótką wzmiankę o tym pisarzu.

Wieś Radoszewice, ongiś folwark Niemojewskich, znajduje się na północnej krawędzi Pajęcząńskiego. W tamtejszym folwarku w 1823 r. urodził się Ludwik Niemojewski. Otrzymał staranne wychowanie domowe i średnie wykształcenie. Po ukończeniu edukacji powrócił do rodzinnych Radoszewic, osiadł na folwarku i gospo-

darował na roli. Mimo, że nie posiadał wybitniejszego talentu oddawał się z pasją piśmiennictwu.

W 1851 r. ukazała się drukiem pierwsza jego praca pt. „Dwa towarzystwa”, komedia z życia dworskiego, napisana w 4 aktach. W pięć lat później wyszły drukiem dalsze jego prace: „Komedie” oraz „Obrazy z Pisma Świętego”, będące poematem religijnym, wydane w Poznaniu.

Za udział w powstaniu styczniowym i pomoc powstańcom w bitwie 23 marca 1863 r. pod Radoszewicami Niemojewski został zesłany na Syberię, gdzie przebywał do 1874 r. Pobyt na wygnaniu wykorzystał na pogłębianie wiedzy z zakresu geografii i etnografii, które to nauki fascynowały go. Po powrocie do ojczyzny zdobyte wiadomości o tamtym rozległym kraju i swoje wspomnienia drukował w czasopiśmie „Wędrowiec” i „Biblioteka Warszawska”. Zamieszczał w nich różne wiersze, opowiadania, powiastki. Jego „Obrazki Syberyjskie”, ilustrowane przez znakomitego rysownika Michała Elwira Andrioli'ego

ilustratora „Pana Tadeusza” i „Marii” Malczewskiego stanowią zbiór opowiadań, które czyta się z dużym zainteresowaniem.

W 1881 r. Niemojewski wydał w Warszawie „Powieści i szkice obyczajowe” w 3 tomach. Również drukiem ukazał się jego utwór sceniczny pt. „Marysia Ochocińska”, obrazek ludowy napisany wierszem dla młodzieży. Był współpracownikiem czasopisma „Przyjaciel dzieci”. Zamieszczał w nim wiersze, bajki i opowiadania. Ostatnim jego utworem była „Dwórka”, opowiadanie z życia ludzi folwarcznych. Niemojewski, którego cechował głęboki patriotyzm, w jego twórczości przebiegały nurty postępu społecznego, dostrzegali różnicę między dworem, a wsią.

Zmarł w połowie grudnia 1892 r. w Warszawie.

Jego siostra, również Niemojewska, uczestniczyła w powstaniu. Była adiutantem generała Edmunda Taczanowskiego, dowódcy kawalerii w Sieradzkim. Wsławiła się ona w bitwie pod Radoszewicami, w której uratowała sztandar powstańców z rąk ранego kosyniera.

W ANGLII I AMERYCE



Jaka jest Anglia, jaka jest Ameryka? Niby wiemy, czytaliśmy dziesiątki książek znakomitych reporterów. A jednak... Leszek Elektorowicz mówi nam w swojej książce rzeczy interesujące i nowe, a jeśli nawet decyduje się na zaserwowanie jakiejś oczywistości — czyni to w sposób niezwykle wdzięczny. I choć autor często zapuszcza się w rozważania socjologiczne czy krytyczno-literackie — czyta się tę książkę jak ciekawą gawędę.

Ale zalety stylu książki Elektorowicza to tylko je-

kowym... Stąd warto polecić ją wszystkim, którzy pielęgnują w sobie własne mity o krajach na Zachodzie. J. W.

Leszek Elektorowicz: „Z Londynu do Texasu i dalej...” Wyd. Literackie 1970.

„ZYWE FIKCJE”

Ostap Ortwin, związany przez całe swoje życie z lwowskim środowiskiem literackim, wydał za życia jedną tylko książkę: „Próby przekrojów”, w której zgromadził zaledwie część swego obfitego dorobku krytycznego. Niedawno ukazał się tom „Żywe fikcje”, który oprócz przedrukowanego materiału z „Prób przekrojów”, zawiera szereg szkiców, ogłoszonych niegdyś w czasopiśmie i doszczętnie zapomnianych. Ale — dodajmy — zapomnianych niesłusznie. Niektóre z tych szkiców są w dalszym ciągu, przynajmniej w pewnej mierze, aktualne. Mam tu zwłaszcza na myśli cykl artykułów pt. „Studia o krytyce” oraz rzeczy pomieszczone w aneksie jak np. felieton „O literackich zaściankach”.

Pisarstwo krytyczne Ostapa Ortwina odznaczało się dużą wiedzą i kulturą literacką. Ortwin pisał stylem wykwintnym, ale przy tym jasno i konkretnie. Książka składa się z dwóch zasadniczych części: studiów o prozie i studiów o poezji, z tym, że część druga jest znacznie obszerniejsza i na pewno bogatsza. W tomie pomieszczono również artykuł, napisany w obronie Stanisława Brzozowskiego, któremu — jak wiadomo — zarzucono współpracę z carską ochroną. Ostap Ortwin wraz z Karolem Irzykowskim wydali osobną broszurę, broniącą czci i dobrego imienia pisarza. „Żywe fikcje” Ostapa Ortwina, opracowane przez Jadwigę Czachowską, z obszernym wstępem Michała Głowińskiego, winny znaleźć się w bibliotece każdego nauczyciela-polonisty i każdego studenta, interesującego się literaturą polską. jk.

Ostap Ortwin: „Żywe fikcje”. Studia o prozie, poezji i krytyce. Warszawa 1970, PIW, cena: zł 50.

O PROZIE IWASZKIEWICZA

Miłośnicy prozy Jarosława Iwaszkiewicza otrzymali bardzo cenną pomoc krytyczną: książkę Ryszarda Przybylskiego „Eros i Tanatos” jest obszerną rozprawą o prozie Iwaszkiewicza z lat 1916—1938 a więc od „Ucieczki z Bagdadu” aż po „Pasje błodmierskie”. Eros i Tanatos czyli miłość i śmierć — oto dwa bieguny, obejmujące twórczość prozatorską (a zapewne i poetycką) tego wybitnego pisarza. Ryszard Przybylski analizuje szczegółowo, utwor po utworze, wszystko to, co w zakresie prozy napisał Iwaszkiewicz pomiędzy wojnami. A czyni to na szeroko zarysowanym tle tamtego czasu, omawiając prądy filozoficzne i literackie zarówno w Polsce jak i w Europie. Ryszard Przybylski dysponuje rozległą wiedzą historyczno-literacką, a także talentem pisarskim, który pozwolił mu napisać o twórczości wybitnego pisarza w sposób jasny i nie pozbawiony werwy polemicznej.

Po książce Jerzego Kwiatkowskiego „Eleuter”, poświęconej pierwszemu okresowi twórczości poetyckiej Iwaszkiewicza — monografia Ryszarda Przybylskiego stanowi dalszy, znaczny krok naprzód w badaniu i analizie roz-

ległego dorobku pisarskiego autora „Sławy i chwały”. Nadeszła pora, aby krytyka zajęła się także twórczością Iwaszkiewicza po drugiej wojnie światowej, która przedstawia sobą dorobek imponujący tak pod względem ilościowym jak i co do jakości. jk.

Ryszard Przybylski: „Eros i Tanatos”, proza Jarosława Iwaszkiewicza 1916—1938, Czytelnik, Warszawa 1970, cena: zł 25.

NOTATNIK FIŃSKI

Wilhelm Szewczyk, którego dotychczas znaliśmy jako specjalistę od spraw niemieckich, wystąpił z nową książką, tym razem o Finlandii. „Sampo czyli młynek szczęścia” jest wnikliwym i krytycznym podróżnikiem do kraju tyśiąca jezior oraz studiów o jego obyczajach, kulturze i literaturze. Co uderza przede wszystkim, a na co zwrócił już uwagę Jarosław Iwaszkiewicz na łamach „Życia Warszawy”, że jest to książka napisana lekko i barwnie, która w miarę czytania wciąga nas coraz bardziej. Zmysł obserwacyjny, wiedza i umiejętności snucia narracji sprawiają, że książka Szewczyka może zainteresować każdego, kogo ciekawia obce kraje i życie obcych narodowości.

Książka Szewczyka, boga te ilustrowana, zawiera również „słownik ważniejszych pisarzy fińskich”, ujęty alfabetycznie. W słowniku tym, będącym niejako uzupełnieniem i zamknięciem notatnika fińskiego Szewczyka, znajdujemy biografie stu pisarzy (poetów, prozaików, dramaturgów i krytyków) zarówno dawnych jak i żyjących współcześnie. Wobec całkowitego braku na naszym rynku księgarskim rzeczy o literaturze fińskiej, słownik ten może się okazać wielce pożyteczny dla wszystkich, którzy interesują się piśmiennictwem tego obszaru językowego.

Wilhelm Szewczyk: „Sampo czyli młynek szczęścia”. Wydawnictwo Poznańskie, 1970, str. 234.



dną stroną medalu. Ponadto przecież — i przede wszystkim — mamy w tym tomie reportaży ogromnie dużo interesujących obserwacji i informacji. Poznaliśmy mało znaną Amerykę, gdzieś w stanie Texas, albo w Dolinie Słońca. Dowiadujemy się o „nowej lewicy” na amerykańskich uniwersytetach, bierzemy udział w balu u Capote'a, rozmawiamy z Saulem Bel low czy Johnem Updike... Niewielką — choć bardzo interesującą — część swej książki poświęcił Elektorowicz Anglikom. Mówi nam autor rzeczy interesujące o brytyjskim charakterze, o kulturze, seksie i polityce, o systemie organizacyjnym college'ów, o tradycji i nowoczesności, o teatrze i reklamie, poezji i obyczajowych anachronizmach.

Elektorowicz napisał: „od pierwszych chwil pobytu zaczyna się konfrontacja — wyobrażenia z wrażeniem, mity z rzeczywistością”. Te słowa o Ameryce odnieść można do całej książki. Jest ona bowiem efektem takich konfrontacji i to na wszystkich polach — obyczajowym, literackim, nau-



GDY MIELE MŁYN

Film radzi sobie czasem dobrze bez pomocy literatury. Spektakle telewizyjne w ogromnej mierze opierają swój efektywny żywot na tekście literackim. W ciągu kilkunastu lat istnienia naszego Teatru TV jak przez wielki młyn przepuszczono tysiące tekstów literackich czasem pisanych z myślą o małym ekranie, lecz częściej adaptowanych.

Jeśli pozostać jeszcze przez chwilę przy tej metaforze z branży młynarskiej, to stwierdzić należy, że miele się ziarno, a otrzymuje nową strukturalnie jakość: mąkę. Podobnej metamorfозie ulega także tekst literacki w telewizyjnym młynie. Nie może być mowy o tym, by obejrzanie adaptacji utworu literackiego dawało widzowi tę samą sumę wrażeń, co przeczytanie oryginału. Telewizja wymaga przeważnie skrótów i uproszczeń.

Zle chyba jednak, gdy zamiast bogatej faktury dzieła literackiego ujrzymy na ekranie smętny jego szkielet i gdy główny wysiłek adaptatora skierowany jest na to, by udra matyzować cały watek fabularny, którego poważne partie tkwią w warstwie narracyjno-opisowej oryginału. Z zacięciem oczekiwałem adaptacji ekranowej głośnej przed prawie pół wiekiem powieści Teodora Dreisera „Tragedia amerykańska”. Po spektaklu pozostało mi wrażenie pewnego zdziwienia.

Zdziwienie moje wypływa stąd, że Irena Strzeżewska — wraz z J. Matyjaszkiewiczem autorka adaptacji — ma duże doświadczenie w zakresie przyswajania tekstów literackich telewizji. Skąd zatem u niej wiara w to, że skrótowy z konieczności przekaz głównego wątku fabularnego „Tragedii amerykańskiej” może zadowolić jako kanwa widowiska? Skąd zaufanie do nośności tak skonstruowanego tworu?

„Tragedia Dreisera jest dziełem obszernym. Redukcja jego do konwencjonalnego wymiaru spektaklu TV musi prowadzić do selekcji drastycznej i arbitralnej. Z punktu widzenia widowska ważne jest przede wszystkim to, co pozostało po obróbce tekstu, nie to co odpadnie. Ale skoro to co pozostaje jest myślowo uboższe i z trudem dopatrzeć się w nim można związków z oryginałem?

U Dreisera jest dwóch oskarżonych w procesie Clyde'a Griffitha. Jednym jest sam Clyde, chłopiec bez charakteru, mały arywista bez wewnętrznej pasji (takiej, jaka przepelnia na przykład Juliana Sorel w „Czerwonym i czarnym” Stendhala). Jest on oskarżonym w sensie dosłownym. Zdziwiony jakby tym, że jego drobne świństwa nabrały nagły wymiaru zbrodni grożącej elektrycznym krześłem. Tego oskarżonego w pewnym sensie oglądaliśmy na ekranach.

Ale jest inny jeszcze oskarżony. Społeczeństwo Stanów Zjednoczonych. To samo społeczeństwo, które wytacza Clyde'owi akt oskarżenia i feruje wyrok. Nie zdaje sobie przy tym sprawy z tego, że zasądzając tego tchórzliwego, bez pionu moralnego chłopca, wydaje wyrok potępiający na siebie. To ono stworzyło społeczne i obyczajowe ramy dla „karier” typu tej, która śniła się Clyde'owi, by potem patrzeć nań z obrzydzeniem tylko dlatego, że mu się przy tym powinięła noga.

Jeżeli tych treści nie przekazano widzowi w spektaklu TV, to nie dano mu pojęcia o powieści Dreisera. Współczesny młody człowiek może się najwyżej zdziwić, skąd tyle szumu powstało swego czasu wokół „Tragedii amerykańskiej”. Z telewizyjnego młyna otrzymał nieco melodramatyczną miżgę, kończącą się w dodatku na mowie potępiającej. W książce dramata Clyde'a nasyca się w miarę zbliżania się terminu egzekucji. Partie powieści, na które pada cień elektrycznego krześła, są najbardziej wstrząsające.

Nie wydaje mi się, by Jerzy Żelnicz przekazał klarownie umotywowania wewnętrzne postaci Clyde'a. Był chyba zbyt szlachetny, sugerujący prawdziwość w tych momentach, gdy Clyde móla się w kłamstwach.

By zamknąć te uwagi jakąś konkluzją, wyraziłbym pogląd, że chyba słuszniej było zbliżyć adaptację telewizyjną „Tragedii amerykańskiej” do konwencji Sceny Prozy. Może wtedy tekst Dreisera zabrzmiąłby pełniej.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

spektakle tygodnia

TEATR WIELKI	spektakli	widzów	proc.
„Tragedya”	1	765	60
„Aida”	1	1260	100
„Orfeusz w piekle”	1	1196	95
OPERETKA			
„Książ Igor”	1	995	80
„Faust”	2	2520	100
„W małym dworku”	1	150	75
„Jęgor Bulyczow i inni”	1	533	96
„Wszystko w ogrodzie”	1	396	72
„Tajemniczy ogród”	2	1039	94
Dama od Maxima	7	5150	65
JARACZA			
„Król Edyp”	2	1096	99
NOWY			
„Zemsta”	1	700	100
„Za śledzioma górami”	3	2100	100
NOWY			
Mała Sala			
„Cienie”	4	640	80

SPROSTOWANIE

Do wywiadu przeprowadzonego z kierownikiem Wydziału Kultury Prez. RN m. Łodzi mgr Wojciechem Boczkowskim, zamieszczonego w 6 (7. II. 1971) numerze „Ogłosów”, wkładły się poważne zniekształcenia tekstu, wynikiem z przyczyn technicznych.

Zniekształcone zdania powinny brzmieć: „Co więc uważa Pan dziś za najpilniejszą, najbardziej podstawową sprawę decydującą o rozwoju, o podniesieniu poziomu artystycznego naszych instytucji i placówek kulturalnych?” oraz drugie: „Wydaje mi się, że dyrektorzy teatrów nie powinni zasklepiać się w kręgu miasta, powinni zapraszać reżyserów i realizatorów spoza Łodzi, poszukiwać nowych rozwiązań, skończyć z małą ambiłą, gładką poprawnością”.

Za ten przykry błąd przepraszamy naszego Rozmówcę i Czytelników.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

KSIAZKI O COCTEAU

Wciąż nie gaśnie zainteresowanie postacią i twórczością Jeana Cocteau, poety, dramaturga, powieściopisarza, malarza, rysownika



Jean Cocteau, autoportret

ka i filmowca. Ostatnio, w siedem lat po śmierci tego, jakże płodnego twórcy, ukazały się trzy obszernie opracowane poświęcone jego osobowości.

Nowojorski powieściopisarz Robert Phelps zebrał w blisko trzydziestu dzieł Jeana Cocteau jego biografie w krytycznym zestawieniu z faktami z jego życia. Książka ma tytuł „Professional Secrets” (Tajemnice zawodowe), liczy 332 strony i ukazała się w jednym z nowojorskich wydawnictw.

Drugim dziełem, w którym autor stara się wniknąć w skomplikowaną psychikę Jeana Cocteau sągając do metod psychoanalizy, jest praca Amerykanina Francisca Stegmullera, napisana na podstawie zapisków z rozmów z przyjaciółmi pisarza m.in. kompozytorem Igiorem Strawieńskim czy niedawno zmarłą dyktatorką mody, Coco Chanel. Jak też na podstawie badań archiwum

pisarza w Milly-la-Forêt pod Paryżem. Książka zatytułowana „Cocteau”, liczy 594 strony i wydana została w Bostonie.

Trzecią wreszcie pozycją jest biografia Cocteau napisana przez jego przyjaciela Jean-Jacques Kihma, przy współpracy i pomocy Angielki Elizabeth Sprigge i Francuza Henri Béhara. Książka ma tytuł: „Jean Cocteau. Sein Leben — ein Meisterwerk”, i ukazała się w języku niemieckim w Monachium. Liczy 368 stron.

TEATR DLA DZIECI

W ostatnim numerze, z lutego br., radzieckiego magazynu „Sputnik” znajdujemy ciekawe informacje na temat teatrów dla dzieci i młodzieży w Związku Radzieckim. Teatr ten ma interesującą historię. Już w rok po Rewolucji, gdy pierwszym ludowym komisarzem oświaty był Anatolij Lunaczarski, władze postanowiły powołać do życia przy współpracy artystów teatr, który grałby specjalnie dla dzieci i młodzieży.



Budynek centralnego teatru dla dzieci w Moskwie, obok Teatru Wielkiego

W roku 1918 powstały więc pierwsze na świecie takie teatry w Związku Radzieckim. Nazywały się one Teatrami Młodego Widza w skrócie TJUZ (Teatr Juna wo zritelja). Z TJUZami współpracować zaczęli chętnie radzieccy pisarze, autorzy sztuk „dla dorosłych”. M.in. wśród autorów piszących dla TJUZów

znaleźli się tak wybitni literaci jak Aleksiej Tołstoj, Walentin Katajew, Konstantin Treniew, Michaił Swietłow, Konstantin Paustowski. Pisząc sztuki przeznaczone dla dzieci i młodzieży weszli do literatury znani dziś pisarze jak Samuil Marszak, Jewgienij Szware, Siergiej Michalukow, Wiktor Rozow i inni.

Ale Teatry Młodego Widza w dalszej swej pracy nie ograniczyły się do wystawiania sztuk wyłącznie pisanych na ich sceny. Sięgnięto z powodzeniem do klasycznego repertuaru światowej dramaturgii wystawiając i opracowując dla młodocianych widzów także arcydzieła jak „Borys Godunow” Puszkina, „Hamlet” czy „Romeo i Julia” Szekspira, „Zbójcy”, „Intryga i miłość” Schiller — itd.

W latach bezpośrednio po drugiej wojnie światowej idea Teatru Młodego Widza przyjęła się niemal na całym świecie. Toteż w roku 1964 zostało powołane do życia Międzynarodowe Stowarzyszenie Teatrów dla Dzieci i Młodzieży. Obecnie

w skład stowarzyszenia wchodzi przedstawiciele dwudziestu krajów. Stowarzyszenie wydaje swoje pismo pt. „Teatr, dzieciństwo, młodość” z siedzibą redakcji w Paryżu. W Pradze zaś ukazują się regularnie biuletyny informujące o działalności teatrów dziecięcych i młodzieżowych w poszczególnych kra-

jach. TJUZY współpracują też z UNESCO i międzynarodową organizacją teatrów lalkowych.

Obecnie w ZSRR działa 45 dramatycznych i 2 muzyczne (operowe) teatry dla dzieci i młodzieży i 100 teatrów lalkowych. W stolicy każdej Republiki Związkowej jest TJUZ, wy stawiający sztuki w języku danej republiki. Dwanaście milionów młodocianych widzów corocznie ogląda spektakle Teatru Młodego Widza, a 20 milionów przedstawienia teatrów lalkowych.

DAMA AGATHA

Agatha Christie popularna angielska autorka powieści detektywistycznych, która w zeszłym roku ukończyła osiemdziesiąty rok życia i wydała swą osiemdziesiątą powieść, otrzymała tytuł Damy Orde ru Imperium Brytyjskiego. Jak wymaga etykieta, pisarkę tytułowana odąd będzie Dame Agathą.

DAR WNUKA GEORGESA FEYDEAU

Wnuk popularnego do dziś dramaturga Georgesa Feydeau, Alain Feydeau ofiarował francuskiej Bibliotece Narodowej manuskrypty swego słynnego dziadka trzech sztuk m.in. bardzo popularnej „Damy od Maksyma”.

MÉRIMÉE ZASŁUŻONYM KONSERWATOREM ZABYTKÓW

We wrześniu ubiegłego roku mijała setna rocznica śmierci wybitnego pisarza francuskiego Prospera Mérimée. U nas jego nazwisko zostało ostatnio przypomniane m.in. wydaniem jego opowiadania pt. „Lokis” (PIW, 1969) oraz nakręceniem filmu pod tym samym tytułem na podstawie tegoż opowiadania.

Prosper Mérimée urodził się w roku 1803. Jego ojciec był malarzem i profesorem rysunków. Ze strony matki Prosper był prawnikiem pani de Beaumont, autorki bajkowej opowieści pt. „La Belle et la bête” (Piękna i bestia).

Z wykształcenia prawnik, Prosper Mérimée interesuje się żywo i dość gruntownie historią, archeologią

i literaturą. Wiele też podróżuje nie tylko po Francji. Wydaje najpierw „Teatr Klary Gazul” zbiorek komedii napisany rzekomo przez hiszpańską aktorkę. Mistyfikacja jest tak doskonała, że nawet Goethe wierzył w autorstwo nieistniejącej Gazul. Potem Mérimée wydaje cykl utworów „Iliryskiego barda Maglanowicza”, który również nie istniał. Już w tych pierwszych utworach ujawnia się wybitny talent literacki, oszczędność słowa, wybitne zdolności kompozycyjne, zrywanie ze schematami. Następnie kilka tomów opowiadań, wydawanych już pod własnym nazwiskiem zapewnia mu trwałe miejsce w literaturze. Opowiadanie „Carmen” staje się kanwą

Francji Prosper Mérimée był tłumaczem i popularyzatorem literatury rosyjskiej. Przekładał na język francuski dzieła Puszkina, Gogola, Turgeniewa.

Od roku 1831 pisarz zostaje inspektorem zabytków. Od tej pory stać podróżuje po Francji, dociera do mało dostępnych zakątków kraju, zatrzymuje się w miejscowościach, gdzie znajduje interesujące zabytki architektoniczne. Prawie zawsze znajduje środki zaradcze by uratować jakis cenny zabytek, walczy o kredyty i zdobywa je. Tam, gdzie natychmiastowa konserwacja jest niezbędna, działa szybko i skutecznie, wysyłając społeczne ekipy dla ratowania i konserwowania zabytków w miej-



Rzeźba z XII w. Odnalazł ją i zabezpieczył Prosper Mérimée

znaney opery Bizeta pod tymże tytułem. Nowele „Tamango”, „Wazon etruski”, „Mateo Falcone” czy „Wzięcie redu” zaliczają się będą do najświetniejszych krótkich utworów prozatorskich w literaturze światowej. Interesującą powieścią jest jego „Kronika czasu Karola IX”, jedną zaś z jego najlepszych sztuk scenicznych jest „Zakeria” — dzieje buntu chłopskiego z roku 1358. Jako pierwszy we

scenowocicach Vézelay, Avignon, Blois, Vignorey. Ostatnio w Paryżu została otwarta wystawa dla uczczenia zasług Prospera Mérimée jako tego, który uratował wiele zabytków francuskich. Pokazano tu 270 fotografii architektury, przedmiotów, obrazów uratowanych, zabezpieczonych lub odrestaurowanych dzięki ofiarnej, w ciągu lat osiemnastu, pracy Prospera Mérimée jako inspektora zabytków.

Bez strachu

BYLI DYREKTORZY

Zacząłem pracę zawodową w 13-tym roku życia, ilu to przez ten czas podlegałem dyrektorom, kierownikom, majstrom, redaktorom naczelnym... Gdyby ich ustawił przed Delikatessami, stanowiłby potężną i bardzo godną kolejkę, gdyby każdy kupił chociaż jedno fabryko, jeden banan — jaka sterta owoców zostałaby spożyta! Spotykam ich niekiedy na ulicy, w kawiarni, w tramwaju. Trzeba stwierdzić, że byli dyrektorzy przemysłowi, a kiedy spotkać ich oko w oko, są albo przesadnie, sztucznie życzliwi, albo zbytecznie nieufni. A przecież to nie złego, że ktoś był kiedyś kogoś przełożonym, że obecnie przełożonym nie jest — normalny podział funkcji w każdym społeczeństwie, nie ma powodu ani do dumy, ani do wstydu. Ale my jesteśmy inni, skrytymy, jak mówią uczeni — sam byłem kiedyś prawie kierownikiem, podlegała mi prawie jedna pracownica — otóż dzisiaj, po latach, kiedy spotykam i prawie podlegającą mi jedną pracownicę — stoję dziwnie miny, by uchościć za wałniaka, by demonstrować, że i dzisiaj jestem prawie kierownikiem, że i dzisiaj ktoś prawie mi podlega. No, dobrze, a gdybym dzisiaj nie był kierownikiem, gdyby dzisiaj nikt mi nie podlegał — to czy w tej sytuacji nie wolno by mi było spojrzeć w oczy byłej mojej prawie pracownicy? Czy dyrektorstwo, nacelnikostwo, kierownictwo — nadaje człowiekowi piastującemu tę funkcję dożywną godność? A jeżeli ta godność jest dożywna, to czy utrata posady dyrektora jest sprawą wstydliwą? Im dłużej na ten temat myśleć, tym trudniej cokolwiek zrozumieć. Bo przecież funkcja dyrektora daje odrobinę wyższą pensję i znacznie większe obowiązki, ogromną odpowiedzialność, predestynację do zawalu serca. Co do mnie, to krzyczę z radością: „Nie jestem dyrektorem, nie jestem nacelnikiem, nie jestem kierownikiem, nie jestem nacelnym redaktorem. Chodzę sobie luzem — wszystkim podlegam i nie podlegam nikomu”. Tak krzyczę każdego dnia, natomiast co do dyrektorów, to ci milczą. Natomiast byli dyrektorzy przemysłowi, którzy tak jakby kiedyś zrobili coś złego — ciekawe, że robią tak nawet ci, którzy ciężko i uczciwie pracowali.

BERNARD SZTAJNERT



ŁÓDZCY BIBLIOTEKI

PIĘKNA PASJA — KIM BYŁ PRZECŁAW SMOLIK?
— ZAPOMNIANA KSIĄZKA — KTO WYDA „HISTORIĘ ILUSTRACJI”? — SPOTKANIA W MANSAR-
DZIE — CIEKAWIE INICJATYWY

Julian Tuwim napisał kiedyś żartobliwy wiersz pt. „zakochany bibliofil”. Była w tym wierszu bardzo ciekawa kpina z owej pasji, ponieważ jak wiemy i sam Tuwim był namyślnym bibliofilem. Nic więc dziwnego, że wiersz kończył się strofą:
„Pani! Zegnam raz jeszcze i pięknie się kłaniam... Gdy nie chcesz bibliofila — niech cię jakiś snob ma... Jedno wiedz: dziesięć takich oddam bez wahania Za każdą z moich książek, za każdą z osobną”.

Bibliofilstwo jest piękną pasją — w świecie zbiera ją i kolekcjonerów jego ranga jest wysoka, ale bibliofilstwo jest także dowodem rangi kulturalnej środowiska, w jakim powsta

ło. Nie można sobie wyobrazić bibliofilów na pustyni. Dlatego na wszelkie uwagi o pustyni kulturalnej, jaką rzekomo była Łódź w latach międzywojennych, mam wśród argumentów ten właśnie...

Działalo tu przecież w latach 1927-1939 Towarzystwo Bibliofilów, założone przez Przecława Smolika, który w 1926 roku przeniósł się z Krakowa do Łodzi, obejmując posadę polonisty w Męskim Gimnazjum Społecznym.

Kim był Przecław Smolik? Animator i działacz społecznego ruchu bibliofilskiego w Łodzi. Dr Jaruzława Dunin tak pisze o Smoliku: życie i działalność tego człowieka nie doczekały się dotychczas

omówienia. Urodzony w Bochni w 1877 roku ukończył medycynę i specjalizował się w psychiatrii. Rychno jednak zwrócił swe zainteresowania w kierunku literatury, pracy dydaktycznej i działalności społecznej, które pochłonęły go całkowicie. Debiutował jako krytyk i satyryk, pisał wiersze, dokonywał przekładów. Ale niezależnie od licznych zajęć społecznych i literackich w życiu Przecława Smolika przewija się wyraźnie nurt zainteresowań dla pięknej książki i grafiki książkowej. Pisał na ten temat parę publikacji jeszcze w Krakowie — potem w Łodzi dzięki jego to inicjatywie pozyskano dla miasta cenne druki, rękopisy i kolekcję dzieł sztuki ze zbiorów Juliana i Kazimierza Bartoszewiczów.

Bowiem ten lekarz i psychiater, polonista i kierownik Wydziału Oświaty i Kultury łódzkiego Magistratu, był przede wszystkim bibliofilem, miłującym piękne książki i dzieła sztuki i jeśli dziś mamy w Łodzi Muzeum Sztuki, którym chlubi się miasto przed całą Europą — to przecież u podstaw i początków owego muzeum była bibliofilska pasja Przecława Smolika.

I tu warto przypomnieć rzecz zapomnianą — nieślusnie zapomnianą. Otóż Przecław Smolik stworzył monumentalne dzieło „Historia ilustracji w Polsce”. Po zakończeniu wojny wrócił do Łodzi wraz z rękopisem tej książki, którą składa w wydawnictwie „Czytelnik”. Wznawia działalność literacką, publicystyczną i społeczną. Na krótko. Śmierć przerywa to pracowite życie 15 lutego 1947 roku. Druk książki zo stał wstrzymany. To nie były czasy sprzyjające bibliofilskiej pasji.

Ale książka istnieje. Rodzina Przecława Smolika wznosiła w końcu lat pięćdziesiątych starania o wydanie „Historii ilustracji w Polsce”. Bez skutku. Ale książka istnieje — choć nie istnieją, zniszczone przed laty, gotowe już klisze. Istnieje jej rękopis czy maszynopis i może warto pomyśleć o publikacji monumentalnego dzieła Przecława Smolika.

Nie dokonają tego Łódzcy bibliofile, nie wydają książki człowieka zastującego dla kultury Łodzi. Ale może Wydawnictwo Łódzkie, może Towarzystwo Przyjaciół Łodzi...

Grono współczesnych łódzkich miłośników książki nie może podjąć trudów

edytorskich, bo nie leży to w ich kompetencji. W latach dwudziestych wydawał jednak książki — tekę ekslibrisów Karola Hillera, rozprawkę Smolika „Zdobniczość książki w twórczości Wyspiańskiego”, zbiór esejów, „O sztuce nowoczesnej” — Strzemińskiego, Brzękowskiego, Chwistka i innych...

Dziś bibliofili organizują wystawy ekslibrisów i ciekawe spotkania w swojej mansardzie. Wiodą tam ciekawe dysputy o kolekcjonerskich pasjach, o starciach książkach i rękopisach, wspominają bibliofili skie przygody i tropy — polowania na księgarskie rarytasy... Niewielkie to grono, ale stanowi ono jak gdyby drożdże kulturalnego fermentu środowisk naukowych i artystycznych.

Tak więc piękne bibliofilskie pasje owocują w Łodzi ciekawymi inicjatywami, tworzą artystyczny, kulturowy klimat... Są więc świadectwem kulturowania w Łodzi starych tradycji, świadectwem szacunku dla kulturalnej przeszłości miasta. I wczoraj i dzisiaj ranga tej stosunkowo niewielkiej grupy ludzi jest niezaprzeczalna w tworzeniu intelektualnej atmosfery miasta.

JERZY WIDOK

